This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

V 7123.1.815

Harvard College Library

BEQUEST OF

JEREMIAH CURTIN

(Class of 1863)

RECEIVED SEPTEMBER 3, 1913

To the introducer of [illegible] into english literature Mr Jer. Curtin with [illegible] from the grateful countryman and [illegible] the author

Cleveland, Ohio 14 June 897.

WŁ. M. KOZŁOWSKI.

948 Jad St
Cleveland
~~Slav 6725.1~~

MANFRED, HR. HENRYK i PŁOSZOWSKI

JAKO PRZEDSTAWICIELE TRZECH POKOLEŃ XIX STULECIA.

STUDYUM Z PSYCHOLOGII SPOŁECZNEJ.

WARSZAWA.
Druk Jana Cotty, Senatorska 29.
1896.

Slav 7123.1.815

Slav 6725.1

Harvard College Library
Sept. 3, 1913
Bequest of
Jeremiah Curtin

Дозволено Цензурою.

Варшава, 11 Марта 1896 г.

Jeremiah Curtin,

Od czasu do czasu jakiś geniusz poetycki rzuca na papiér postać, która, urągając biegowi wieków, zostaje wiecznie młodą, zawsze blizką sercu czytelnika, chociaż cały szereg pokoleń przejdzie nad nią, chociaż zmienią się warunki życia, instytucye, zwyczaje. Do takich postaci zaliczamy Fausta i Don Juana, Hamleta i Gustawa (z Dziadów), Manfreda i hr. Henryka z Nieboskiéj, Wertera i Płoszowskiego.

Co unieśmiertelnia te utwory? Co nadaje ich postaciom żywotność? Dlaczego typy te nazywamy ogólnie ludzkiemi?

Bo każdy z nich odbija w sobie pewną stronę natury naszéj, każdy jest odzwierciedleniem owéj „czystéj treści człowieka", która zostaje niezmienną wśród przemian ukształtowania zewnętrznego, żywioł trwały, ponad którym znamiona czasu przebiegają jak fale toczące się na powierzchni oceanu, nie mącąc jego głębi.

Ale po za tą stroną trwałą charakteru, postaci poetyckie mają jeszcze inne znaczenie: każda epoka ma swój typ przeważny, gdyż warunki historyczne sprzyjają rozwojowi téj lub innéj strony natury ludzkiéj i w tém znaczeniu prawie każdy typ poetycki jest charakterystyczny dla jakiejś chwili dziejowéj, jest przedstawicielem pewnego pokolenia.

Faust szkicowy, Faust podania ludowego mógł powstać w XVI stuleciu — wieku rozpoczynającéj się oświaty, ale skończoną postacią

poetycką, stał się na schyłku XVIII wieku, kiedy dzieło oświaty doprowadzone zostało do szczytu.

Aby typ wieczny nie został czystą abstrakcyą, aby idea wcieliła się w postać żywą, niby z krwi i ciała urobioną, powinna przybrać piętno pewnéj epoki i pewnego miejsca, zostać historycznie i geograficznie określoną. Forma, w którą się wylewa postać poetycka, odmienna jest w każdéj dobie dziejowéj i zależna od warunków historycznych.

Każda więc większa postać poetycka jest dwoistą [1]). Estetyka-psychologa zajmuje przeważnie pierwsza, wieczna i ogólnie ludzka strona tych postaci; historyk-filozof, śledzący rodowód dziejowy pewnego typu, powinien skupić uwagę na cechach, które dla psychologa są podrzędnemi i przypadkowemi.

W jakiém znaczeniu mamy jednak prawo mówić o rodowodzie typu poetyckiego?

Jak syn dziedziczący po ojcu pewne cechy przyrodnicze, pewne zdolności i usposobienia, może jednak daleko odbiedz od niego pod wpływem zasobów myśli i przekonań wyrobionych w odmiennych warunkach życia, w innéj dobie dziejowéj, tak jednakowy skład charakteru może wydać w rozmaitych epokach typy tak niepodobne do siebie, że trzeba długo i uważnie im się przyglądać, aby dostrzedz wspól-

---

[1]) Niezrozumieniem tego dwoistego charakteru każdéj większéj kreacyi poetyckiéj grzeszy większość prób reformatorstwa w dziedzinie krytyki. Autor jednéj z niedawno wydanych historyi literatury (Posnett. *Comparative literature* London, 1886), przenoszący do literatury metodę porównawczą językoznawstwa, któréj próbę zastosowania do historyi uczynił już Freemann (*Comparativ politics*), co bynajmniéj nie wymaga zaprzeczenia krytyki literackiéj w dzisiejszém znaczeniu słowa, robi jednak szereg najniesłuszniejszych a często nielogicznych zarzutów przeciw powszechnie przyjętemu sposobowi pojmowania utworów poetyckich. Zarzuty te opierają się głównie na owéj dwoistości, przedstawianéj jako sprzeczność i wziętéj za kamień węgielny planów reformatorskich. Zapomina przytém autor, że chociaż każdy normalny człowiek ma w sobie coś z Faustowskich pragnień wiedzy i Don Juańskiéj żądzy użycia, coś z refleksyi Hamleta i wyrzutów Manfreda, jednak warunki danéj epoki mogą sprzyjać temu, że ta właśnie a nie inna cecha urośnie do idealnéj potęgi, stanie się przeważną, a w ten sposób typ nie przestając być ogólnie ludzkim i wiecznym, staje się jednak postacią charakterystyczną dla pewnéj epoki i pewnego społeczeństwa. Krytyka ze stanowiska filozoficznie dziejowego, nie czyni zbyteczną krytyki psychologicznéj, lecz ją uzupełnia, a żadna z nich nie przeszkadza studyom porównawczym nad literaturą. Gdyby prawdą były twierdzenia Posnetta, nikt dziś nie mógłby rozumiéć piękności nietylko Homera, ale i Szekspira.

ność zasadniczego tła psychologicznego. Jeśli zaś obok téj wspólnéj podstawy psychologicznéj, któréj zbadanie stanowi przedmiot zwykłéj krytyki, wykryjemy w dwóch typach różnice, ściśle odpowiadające różnicom warunków dziejowych, w jakich żyły po sobie pokolenia, do których typy te należą; jeśli potrafimy wykazać związek rysów charakterystycznych każdéj postaci z ideowemi, obyczajowemi i innymi czynnikami, oddziaływającymi na jéj rozwój, to możemy mówić o genezie czyli rodowodzie typów; rzecz tak się przedstawia, jakby jeden rozwinął się z drugiego, przyczém naturalnie rozwój nie zawsze bywa postępem.

Jeśli teraz zestawimy z sobą cechy psychologiczne kilku wymienionych wyżéj wiecznych typów, zauważymy w nich wiele rysów pokrewnych; bo każda z tych postaci obdarzona jest właściwościami najbardziéj nadającemi się do tego, ażeby z niéj utworzyć postać typową swego czasu.

Cóż to jest postać typowa? Jest nią ta, która odbija i koncentruje w sobie dążności i pragnienia danéj epoki, silne i słabe strony pewnego pokolenia, odzwierciedla jego charakter moralny, doprowadzając pojedyncze rysy do największego wykończenia. Do takiéj roli nadaje się natura wrażliwa i złożona, możliwie wszechstronna, w któréj żadna z władz ducha nie ma stanowczéj przewagi nad innemi. Jednostka typowa czuje żywo a niekiedy i głęboko, ale nie jest odruchowo czynna, bo posiada umysł analizujący i refleksyjny; nie jest téż wyłącznie rozumową, bo ma wszechstronnie rozwiniętą uczuciowość. Zdolna do wszelakich uniesień, nigdy nie staje się wyłącznym fanatykiem jakiéjkolwiek jednéj idei. Nie jest ona twórczą; nie należy do tych przodowników ludzkości, którzy torują nowe drogi, ale ma wysoko rozwinięte poczucie ideału i potrzebę przeniesienia go do życia.

Jednostka typowa nie jest ani wyłącznym bohatérem czynu, który raz wytknąwszy drogę, idzie pewnym krokiem ku zamierzonemu celowi, jak Fortinbras w „Hamlecie", ani wyłącznym maniakiem myśli, zapominającym o świecie, jakim przedstawia Archimedesa podanie o jego śmierci; nie jest człowiekiem, którego by naraz i całkowicie ogarnąć mogła jakaś namiętność, jak Romeo lub Otello.

Te natury są zbyt proste, zbyt jednostronne. Jednostka typowa może jednak zostać i bohatérem czynu, jak Hrabia Henryk w Nieboskiéj i bohatérem myśli, jak Faust, może dać się unieść namiętnościom, jak Don Juan, lub paść jéj ofiarą, jak Werter, może się wzbić na szczyty poświęcenia, jak Konrad lub Posa, albo zostawać w odrętwieniu niezdecydowania, jak Hamlet, — ale we wszystkich tych przemianach zachowa swój charakter zasadniczy — umysłu filozoficznego

i duszy wszechludzkiéj. Jest to jakby złożony i bardzo dokładny instrument muzyczny, który może oddać zarówno heroiczną symfonię i pieśń pasterską; cichą modlitwę i zgrzytające bluźnierstwo rozpaczy, bo nie brak tu żadnego klawisza, żadnego dźwięku z bogatéj gamy duszy ludzkiéj.

Oczywiście, że typ taki nietylko może być najdokładniejszym wyrazicielem idei dziejowéj każdéj epoki, ale i doprowadza tę ideę do największego wykończenia, do wszechstronnego, wszechludzkiego rozwoju, do subtelnego pojęcia oddania wszystkich szczegółów odcieni i konsekwencyi. Dlatego też postać taka jest ulubionym przedmiotem poetów myślicieli i krytyków filozofów.

I.

Trzy postaci wymienione wyżéj, jako przedstawiciele pokoleń naszego stulecia, mają wszystkie cechy jednostek typowych. Łączy je przytém wspólna wszystkim trzem potrzeba wzniesienia się ponad rzeczywistość, połączona z silném poczuciem swojéj wyższości. Są oni przedstawicielami tego, co Schiller nazwał „szlachectwem ducha", a co w wieku Płoszowskiego przybiera postać „arystokracyi duchowéj."

Najbardziéj jednak charakterystyczną ich cechą wspólną, jest owo zlanie w jedno dziedziny poezyi z zakresem rzeczywistości, będące wynikiem potrzeby konsekwencyi w wewnętrznych i zewnętrznych objawach i formach życia, cechującéj wogóle jednostkę typową.

Poezya, dziedzina piękna, jest pośredniczką pomiędzy zakresem rzeczywistości a sferą ideału; pomiędzy prawdą wiedzy a prawdą wiary i serca. Jest to jakby terytoryum neutralne, na które wolno jest robić wycieczki zastępom jednego i drugiego państwa, bez niebezpieczeństwa narażenia się na głębsze starcie. Jest ona zarazem i ucieczką ducha, pasem granicznym, na którym chroni się umysł ścigany w jednym z tych zakresów. W poezyi szukamy schronienia od rzeczywistości zbyt bolesnéj lub przygnębiającéj, zbyt szaréj i bezbarwnéj; w poezyi wylewamy te pragnienia serca, te popędy idealne, których nie możemy wcielić w czyn.

Każdy człowiek przeciętny, „zdrowy", t. j. nie szaleniec, nie geniusz, ani bohater, ma te trzy terytorya rozdzielone w swoim umyśle. Największe tam miejsce zwykle zajmuje terytoryum rzeczywistości, a pragnienia ideału zaspakaja większość na owym pasie obojętnym, pamiętając dobrze, jakie prawa mu tam służą. Człowiek „rozsądny"

wié, że życie nie jest poezyą, a poezya nie jest życiem. Rozczula się czytając o urojonych cierpieniach bohaterów powieści, zachwyca się ich heroiczném zaparciem się siebie, uwielbia czyny poświęcenia, co mu nie przeszkadza odwrócić się od rzeczywistych cierpień i nędzy, gdy je napotka w życiu, lub wzruszać pogardliwie ramionami na widok poświęcenia i z uśmiechem politowania patrzéć na tych szaleńców, którzy marzą o przerobieniu świata i uszczęśliwieniu ludzkości. Swoją drogą po dobrym obiedzie chętnie bierze do ręki czułą powieść i wyléwa łzy nad niedolą ludzką. Dziedzina marzeń i dziedzina czynu są tu zupełnie oddzielone od siebie; jedne nic nie mają wspólnego z drugim. Pas graniczny strzeżony jest dobrze i żadne przemytnictwo tu niemożliwe.

Ale są umysły, w których granica ta zaciera się. Terytoryum obojętne znika, dziedzina rzeczywistości i dziedzina marzeń stykają się i zléwają na swoich kresach...

Stan ten umysłu przeżywają wszystkie lepsze jednostki w wieku młodocianym, kiedy rzeczywistość i marzenia splatają się w jedno urocze pasmo. Ale większość onych rychło léczy się z téj choroby młodości: życie robi je praktycznymi; to znaczy, że ci nawróceni wcześnie wbijają słupy graniczne pomiędzy obu terytoryami i stawiają żandarmów na straży od własnych „złudzeń."

Mniejszość jednak zostaje przez całe życie „niepraktyczną." Są to ludzie, którzy nie będąc poetami, mają naturę poetów. Weźcie organizacyę duchową poety, a odbierzcie mu geniusz twórczy, zdolność zadowolenia téj potrzeby przez wcielenie ideałów swych w dziełach sztuki; zdolność zlewania rzeczywistości z ideałem przy pomocy marmuru, płótna, pióra lub dźwięków i w ten sposób spełnienia powołania swego; odbierzcie mu umiejętność oderwania od siebie swoich pragnień i cierpień, swego bólu wszechświatowego a przelewania go w wymyślone postaci poezyi, a otrzymacie ów typ. Poryw ku ideałowi, który u prawdziwego poety lub artysty, znajduje ujście w dziele sztuki, tu szuka pola w życiu i dla tego, gdy pierwszy może być po za chwilami twórczości najpospolitszym filistrem o dobrze strzeżonym pasie granicznym, drugi nawet w upadku swoim zachowa cechy wyższości, które pociągają nas ku niemu, a przynajmniéj budzą żywe zajęcie.

Stosownie do warunków dziejowych, do oddziaływań psychologicznych, do wrodzonego lub nabytego hartu ducha, jednostka taka może zostać bohatérem lub pseudo-estetykiem, szlachetnym marzycielem, utopistą lub bezcelowo wlokącym życie sybarytą duchowym.

Jeżeli jednostka, o któréj mowa ma oprócz organizacyi poety i geniusz twórczy, zostaje jednym z tych sztukmistrzów, którzy wywierają potężny wpływ i elektryzują całe pokolenia, zostaje Michałem Aniołem, Byronem lub Mickiewiczem, jeśli ma potężną wolę i geniusz czynu lub gotowość do ofiar i poświęcenia się, zostaje bohatérem lub apostołem, jak Savonarola. Heroiczne porywy nie znajdujące ujścia w czynie dziejowym, wcielają się często w poezyi, gdyż poezya jest heroizmem myśli, a owocem jéj — bohatérstwo czynu. Jeżeli siła woli jednostki jest mniejsza niż geniusz twórczy, jeżeli okoliczności dziejowe są takie, że ta siła nie zdoła ich przełamać, bohatér czynu staje się bohatérem pieśni.

W życiu każdego prawie z wielkich poetów znajdujemy chwilę, kiedy świat ideału porywał go w dziedzinę czynu; lecz gdy przeszkody łamały ich wolę, gdy czuli niemoc swoją do wcielenia w życie ideału, a jednocześnie przemawiało w nich poczucie mocy duchowéj, zdolności oddziaływania na serca ludzkie, przetapiali w pieśń te porywy, w kształty piękne zaklinali ideały swoje, aby czyste i promienne z tych niedościgłych wyżyn oświetlały ludzkości drogę postępu.

Jak zaklęta królewna bajki, śpiąca w swoim kryształowym pałacu, tak zachowują świeżość i młodość owe wielkie idee, ujęte w czar pieśni... A gdy przyjdzie chwila dziejowa i rycerz czynu rozbudzi ze snu drzémiącą myśl piękna, rozbije osłaniający ją czar poezyi — staje się ona znowu bohaterskim czynem.

Wtedy piękny sen królewny staje się rzeczywistością dziejową.

Tak niedoszły heroizm poetów przechowuje się w skarbnicy ducha, jak stary oręż w zbrojowni, aby kiedyś inne pokolenie wyciągnęło go na światło boże.

Ale prócz wielkiéj idei, poezya wymaga pięknéj formy. Jeśli obok idealnych porywów nie posiada jednostka téj władzy nad formą, którąby pozwoliła je wcielić w kształty piękne, a warunki dziejowe lub psychologiczne nie dopuszczają jéj ujawnienia w życiu, człowiek zostaje w wiecznym rozbracie z sobą.

Przeciwnie, gdy warunki te wytwarzają atmosferę nieprzyjazną wszelkim ideałom, a obdarzona poczuciem poetyckiém jednostka, nie jest w stanie wznieść się nad nie i porwać za sobą rzeczywistość, — zostaje jéj z poezyi sama tylko piękna szata; chce więc ją przenieść do życia, bo jako jednostka typowa musi miéć poezyę w życiu, a z poezyi tylko forma mu została. Staje się więc p s e u d o - e s t e t y k i e m.

Dlaczego p s e u d o - estetykiem?

Bo z dwóch żywiołów składających się na poezyę: idealnéj treści i pięknéj formy, piérwsza tylko może i powinna być przeniesioną do

życia; druga jest chwilową szatą idei, dobrą i właściwą, dopóki idea ta jest jeszcze w dziedzinie piękna, w kraju ideałów. Ktokolwiek w ideałach poezyi widzi tylko próżne marzenie, nieświadom jest prawdziwego doniosłego jéj znaczenia; z potęgi dziejowéj czyni modny strój, rozrywkę i zabawkę chwilową, lecz kto chce do życia przenieść jéj estetyczną stronę, zapoznaje tę prostą prawdę, że dziedziną piękna jest zakres swobody, pole, na którém twórczość nie jest niczém ograniczona; że naginając formę poetycką do rzeczywistości, zacieramy idealne rysy piękna surową ręką konieczności. Estetyczność jest prawdą tylko w poezyi; przeniesiona do życia przestaje przedewszystkiém być piękném; zostaje tylko źródłem sybarytyzmu — staje się pseudo-estetyką. Rzeczywistość ma swoją piękność, inną niż piękność poezyi, tak jak poezya natury różni się od piękna sztuki. Cechą téj ostatniéj jest świąteczność; cechą życia — powszedniość. Życie nie może być ciągłém świętem, bo ta odświętność stała by się najgorszym rodzajem powszedniości. Pseudo-estetyk chce z życia zrobić nieustającą zabawę zamiast tego, żeby znaléźć poezyę w codziennych jego trudach; zapomina, że strój świąteczny piękny jest, gdy się wkłada w wyjątkowych okolicznościach, ale że z pracą codzienną lepiéj harmonizuje bluza robocza, niż ufryzowana głowa i świetny ubiór balowy.

Z wymienionych trzech typów, Manfred i hr. Henryk, są ludźmi porywającymi się do czynu, Płoszowski—pozbawionym energii pseudo-estetykiem. Co spowodowało tę różnicę?

Odpowiedź na to da nam rzut oka na warunki dziejowe, w których urosły trzy pokolenia naszego stulecia.

II.

Wiek XVIII postawił jednostkę na szczycie dziejów, a straszna burza polityczno-społeczna, która przeleciała nad Francyą w końcu tego stulecia, napełniając swoim odgłosem i wstrząsając całą Europę, zmiotła wszystko, co stało na przeszkodzie wszechstronnemu rozwojowi osobnika w zakresie myśli i czynu, wierzeń i przekonań.

Wszystkie prądy w wieku XVIII-ym zjednoczyły się dla osiągnięcia tego ostatecznego celu; wszystkie wysiłki skierowane ku jednemu punktowi.

Ale wiek XIX-ty jest wiekiem rozbratu we wszystkich niemal sferach życia historycznego. Forma tu jest w niezgodzie z treścią, myśl z czynem, geniusz z tłumem.

Pierwszym rozdźwiękiem jest sprzeczność między zasadą bezwzględnéj swobody jednostki, a wolnością taką, jak ją rozumiał wiek oświaty. Krańcowy jego indywidualizm wystrzela taką potężną jednostką, jaką był Napoleon, przez chwilę narzucający wolę swoją całéj Europie, depcąc zasady, z których sam powstał, aby upaść również raptownie, jak się wyniósł.

Ten meteoryczny przebieg geniusza wojny, musiał oddziałać na wyobraźnię współczesnych i następnych pokoleń. Na osobie Napoleona skupiły się uwielbienia poetów, chociażby pochodzących z wrogich mu narodów, jak Byron i Heine, którego „Ideje" [1]) i „Grenadyerowie" należą do ostatnich odgłosów czci dla tego człowieka, wcielającego ideał potężnéj indywidualności. Również i nienawiść ludzi oddanych idei wolności, a nie zaślepionych fałszywą deklamacyą, ścigała tego kapłana wojny, składającego ludzkie hekatomby na jéj ołtarzu.

Kiedy na polu politycznem przykład Napoleona, zdawało się, stwierdzał paradoks, że krańcowa wolność prowadzi do despotyzmu, to znowuż w dziedzinie myśli, uczuć i wierzeń dążności ducha, stłumione dotąd przez wyłączność racyonalizmu wieku oświaty, domagają się obecnie praw swoich, wytwarzając reakcyę przeciwko filozofii oświaty.

Wiara w potęgę ducha, która dała hasło do wyzwolenia jednostki, wiara stanowiąca cechę znamienną wszystkich objawów myśli i czynu XVIII stulecia, gdy dała raz uczuć człowiekowi moc skrzydeł swoich, porywała go do lotu i kazała szukać jakichś olbrzymich zadań, do spełniania wzniosłych czynów, wielkich poświęceń, niedościgłych ideałów. Poryw ten wzmaga się pod wpływem hasła bezgranicznéj swobody serca, hasła odziedziczonego po „uczuciowéj filozofii" XVIII stulecia i poezyi, okresu burz i zapędów, ale natrafia na płytką, pozbawioną wyższych motywów rzeczywistość filistersko-mieszczańskiego życia, płynącego za prądem reakcyi.

Ów rozbrat między ideałem a rzeczywistością, powoduje inny, między geniuszami a tłumem. Ludzie poczuwający się do jakiéjkolwiekbądź wyższości duchowéj — a nigdy choroba genialności nie była tak rozpowszechniona, jak w owym czasie — z pogardą odwracają się od ogółu, grzebiącego się w mrowisku drobnomieszczańskich interesów i dążności, zamykają się w swojéj samotnéj dumie, lub szukają sztucznych warunków dla zastosowania swoich wyższych, często urojonych zasobów duchowych. Tak powstają owi bohaterowie Chateaubrianda, uciekający w pustynie krajów dziewiczych Ameryki, dokąd

[1]) Po polsku pod niewłaściwą nazwą „Dobosz Legrand."

ich pociąga prostota, szczerość i wyższa etyka ludów nieucywilizowanych, lub postaci z powieści pani Krüdener, odwracające się od życia, aby bujać w mglistych błękitach wyszukanych uczuć:

> Co dzień z pamiątką nudnych postaci i zdarzeń
> Wracać do samotności, do książek i marzeń...
>
> (*Dziady*).

Daje się tu dostrzedz nowy rodzaj rozdźwięku — między treścią a formą. Duch czuje porywy do wielkich czynów, czuje moc ich wykonania, posiada słowem wszelkie warunki formalne, ale nie może znaléźć treści, którą by wlał w ową wielką formę i zamiast jéj szukać w rzeczywistém otaczającém go życiu, unosi się gdzieś w krainy obce i dalekie, albo trawi swoje wnętrze tą siłą, któraby mogła pójść na korzyść ludziom.

Rozbrat ten wzmaga rozdwojenie między myślą a czynem, między filozofią a życiem politycznem i społecznem.

Jako reakcya przeciw niepłodnemu dla dziedziny czynu materyalizmowi, występuje idealizm filozoficzny i doktryna o pierwszeństwie woli. Przez chwilę zdawało się, że płodna myśl Kanta stanie się u Fichtego tém, czém mogła być; że usunie dualizm pomiędzy myślą naukową a czynem, dając uzasadnione przez krytykę władz umysłowych podstawy do zastosowania zasad, kierujących poznaniem i wolą. Ale ciasne formy życia państwowego i społecznego Niemiec, nie dopuściły do prawidłowego rozwoju myśli rzuconéj przez wielkiego idealistę. Filozofia, która urosła z jego posiewu, nietylko okazała się równie jak i materyalizm bezowocną dla życia, lecz oddała się na usługi reakcyi politycznéj i doszła do uświęcenia rzeczywistości. Fatalizm dyalektyczny Hegla zbiegł się w tym punkcie z determinizmem materyalistów, a „Zamknięte państwo handlowe" Fichtego, streszczające w sobie zagadnienie wieku i wykazujące drogę ku jego rozwiązaniu, pozostało bez żadnego wpływu przez całe stulecie.

Z tego chaosu sprzeczności nie może się wydobyć na jaw myśl dziejowa wieku, ta idea społeczna, która jedyna potrafiłaby zogniskować wszystkie usiłowania i popchnąć ludzkość drogą postępu, jak uczyniła to idea indywidualizmu w XVIII wieku.

Całe stulecie upływa na bezowocnych wysiłkach dziejów, ku stworzeniu czegoś to przez żywiołowe zapędy mas, to przez utopijne wzloty myślicieli. Inteligencya, stojąca na czele ruchów społecznych, boi się jednych a nie rozumié drugich. Stąd te ciągłe porywy naprzód—niepewne i trwożliwe, te cofania się wstecz zaognione nienawiścią ku nowości, poparte przez wszystkie zwyciężone żywioły minio-

nego stulecia, skupiające wszystkie niedobitki ideowe wielkiéj walki filozoficzno-społecznéj wieku oświaty.

Pośród tych wahań i fluktuacyi, zostaje niejasnym wewnętrzny związek i pokrewieństwo rozmaitych prądów myśli na polu teoretycznem i praktycznem. Przeciwne obozy chwytają się nieraz tegoż samego oręża ideowego, a późniéj ze zdziwieniem widzą, że myśl, pod któréj sztandarem stanęli, zaprowadzi ich w zupełnie przeciwną, niż chcieli, stronę.

Tak idealizm i materyalizm, romantyzm i naturalizm, religijność i niewiara, utylitaryzm i moralność poświęcenia, ściągają pod hasła swoje raz żywioły postępowe, to znowuż wsteczne; w jednych krajach przyjaciół wolności i braterstwa, w drugich jéj wrogów. A zanim wyjaśni się ten związek wewnętrzny, same idee sprzężone w potworne połączenia, jakby żółwie i orły w jedném jarzmie, ulegają spaczeniu i tracą swój charakter pierwotny.

W takiéj to atmosferze idejowéj występują trzy pokolenia naszego stulecia, z temi trudnościami mają się uporać trzy jednostki, które jako typowe, muszą ogniskować w sobie wszystkie dążności wieku. A że wiek jest pełen sprzeczności, nie dziw więc, że i każdego z tych bohaterów szarpią walki i zwątpienia, że każdy z nich ma swoją tragedyę wewnętrzną.

III.

Manfred, zbliżający się pod tym względem do całego szeregu postaci poetyckich z początku naszego stulecia, postaci powstających na wyżéj nakreślonem tle dziejowém — to forma, stworzona przez geniusz poetycki, wcześniéj niż dojrzała idea mająca ją zapełnić — wielka myśl społeczna naszego stulecia; to naczynie, w które miała się wylać owa idea. Ale idea ta jeszcze nie dojrzała: naczynie zostaje próżne i ta próżnia razi nas jakimś fałszem, jakąś pustką.

Deklamacye Manfreda o wielkich porywach i zamiarach jego młodych lat, brzęczą nam w uszach, jak dźwięk próżnej czary... Nieraz czytelnikowi nasuwa się pytanie: co to za wielkie dary, o których mówi poeta ustami swego bohatera? Czy to nie złudzenie — jego własne i najbliższego otoczenia? Czy to nie objaw ambicyi niewspółmiernéj z rzeczywistemi zasobami ducha?

Ale „nie sądźmy ludzi według ubogiéj rzeczywistości, tego co dokonali...“

O czémże marzył Manfred?

Przyswoić sobie chciałem ducha innych,
I całe ludy oświecić, biedz naprzód —
Niewiedziéć dokąd --

Są to szlachetne marzenia, ale zbyt niejasne i nieokreślone. Dokąd biedz? Z kim walczyć? Tego Manfred nie wié — i tu tkwi źródło tragizmu jego.

Poczucie wyższości swéj w Manfredzie i pokrewnych mu bohaterach wieku jest jednak uzasadnione; polega ono na sile pragnień, na wysokości celów, którym chcieliby służyć. Dążą oni do czegoś wielkiego, choć sami nie wiedzą do czego. Niesłusznem byłoby sądzić ich według tego co robią, lecz raczéj czego nie robią—bo w istocie nic nie robią. Ale chociaż nieczynni, czują oni całą piersią, że aspiracye ich wznoszą się o całe niebo po nad troski i interesa, około których krzątają się mrowiska przeciętnych ludzi.

Manfred jest poetą życia, Manfred—to sam Byron, zanim znalazł treść dla swych porywów, treść również sztucznie wymyśloną, jak u bohaterów poetycznych téj epoki. Walka o wolność Grecyi mogła entuzyazmować w owym czasie szlachetne umysły, zwłaszcza tych, którzy, jak Byron, nie umieli się rozglądać zbyt głęboko w konstelacyach politycznych. Cóż dziwnego, że go porwała, jego, który jak Manfred „chciał biedz naprzód", a nie wiedział dokąd?

Ale czyż przy dobréj chęci nie mógłby znaléźć we własnéj ojczyźnie pola do zastosowania swéj żądzy czynu? Czy nie miał tam milionów białych murzynów, czyż o wolność i człowiecze stanowisko dla nich nie warto było stoczyć niejednéj walki? Tymczasem w epoce, kiedy używał największego powodzenia światowego, kiedy był bożyszczem całego „towarzystwa" angielskiego, zdarzyło się raz, że w kwestyi emancypacyi katolików *vota* za i przeciwko, w izbie parów były prawie równoważne; posłano więc pośpiesznie po Byrona, aby swoim głosem przechylił wahającą się szalę na korzyść sprawy postępu. Wtedy „dość niechętnie", jak sam przyznaje, „opuścił salę balową dla wyzwolenia pięciu milionów ludzi!"

Nie umiejąc znaléźć pola do działalności, cała ta namiętność czynu, tytaniczne pragnienie odczucia wszystkiego, doznania wszelkich wrażeń, skupia się na własnych osobistych uczuciach i staje się źródłem cierpień dla samego bohatera i jego najbliższych.

Potężna forma geniuszu rozsadza ubogą i szczupłą treść pospolitego życia; jest on dla tego życia nieprzydatny i łamie wszystko, starając się wyrwać z jego więzów, a wielkiéj, wszechludzkiéj pracy w któréj mógłby zużyć energię swoją, nie znajduje.

Stąd rozpacz, pesymizm, żal do życia, stanowiący istotę tragizmu Manfreda, bo wrażliwy i głęboko odczuwający, jak poeta, nie może on znaléźć ukojenia w zapomnieniu; do tego w utworze dodaje się wiele właściwego autorowi pozowania na nieszczęśliwego i nie mało buty pańskiéj.

„Żem żył, i kochał i myślał, żałuję!" W tém streszcza się cały wynik życia Manfreda, który, chociaż innemi słowy, wyraża on w znanym i często cytowanym monologu:

We are the fools of time and terror [1])...
I have ceased To justify my deeds unto myself.

„Przestałem usprawiedliwiać swoje czyny przed sobą samym", powiada Manfred. Ale jeśli nie usprawiedliwienie, było przynajmniéj możliwém odkupienie.

Mógłby je znaléźć, gdyby mu stanęła była przed oczy wielka idea przyszłości, gdyby mógł powiedzieć o sobie:

Lecz gdy te smutne pomijając dzieje,
Wzrok ku przyszłości dalekiéj obrócę,
W sercu mém święte budzą się nadzieje
I pieśń tryumfu dla ludzkości nucę...

Ja myślę wtedy o wspaniałéj doli,
Którą dla braci praca ma zgotuje
Przypływ niezłomnéj, wszechpotężnéj woli
Do czynów wielkich i poświęceń czuję.

I marzę szczytnie, że w téj wielkiéj dobie
Szczęście ludzkości wszystkie winy zmaże,
I wszystkie serca, co były w żałobie,
Ukoją świętéj Radości ołtarze...

Wtedy i moje winy mi przebaczą
Ci, którym czyny me ciernie wplatały...

Lecznie ma jéj, téj wielkiéj idei odkupienia... W daremnych poszukiwaniach za nią trawi ducha swego Manfred, bo nie ma w sercu téj miłości dla ludzi, któraby nauczyła go pokochać nawet ułomną rzeczywistość, nauczyła odkrywać w każdém najbardziéj zepsutém sercu iskierkę ducha bożego. Kocha się tylko w mrzonkach swoich, lubuje się cierpieniami swojemi, ubierając się w nie jak w płaszcz tragiczny, a o ludziach mówi jak o istotach, któremi gardzi tak dalece, że nawet

[1]) „Jesteśmy lalki czasu i słabości" u Paszkowskiego.

na czele ich stanąć by nie chciał [1]), od których jeszcze w młodości odwracał się umysł jego [2]), z któremi spotkanie zniżało go do ich poziomu i przypominało mu, że jest prochem [3]).

Wielki geniuszu! gdybyś zamiast brzydzić się tym prochem, nachylił się do niego i wyciągnął ku niemu rękę, nicby na tém nie straciła twoja wielkość! Przeciwnie, z bohatera kartonowego jasełek urosłbyś był na prawdziwego bohatera dziejów i nie potrzebowałbyś teatralną pozą i fałszywym brzękiem słów napełniać téj strasznéj pustki, jaką czujesz w piersi po bezcelowo przeżytém życiu, strawioném na poszukiwaniu szczęścia tylko dla siebie i tylko w sobie.

IV.

Manfred i jego pokolenie nie umiało pochwycić idei postępowéj wieku, zbyt głęboko ukrytéj wśród chaosu gruzów, którémi zasypał niwę dziejową wielki wybuch końca zeszłego stulecia. Minęło poko-

---

[1]) *I disdain'd to mingle with*
A herd, though to be leader—and of wolves
The lion is alone, and so am I.
(Akt III, Sc. 1).

Bo téż nigdy ja ludzi nie chodziłem torem
samotność wolałem

Bo nie mogłem być wilkiem z serca, ni z odzieży,
Ani nawet przewodzić wilkami nie chciałem
W samotności lew żyje, pragnę żyć lwa wzorem.
(tłom. Chodźki, str. 72).

[2]) *From my youth upwards My spirit walk'd not with the souls of men*
(Akt II, Sc. 2).

Od najpierwszéj młodości duch mój szczytnych lotów
Uciekał z téj pustyni, którą światem zowiem,
Nigdy do zwykłych rzeczy i ludzkich obrotów
Nawyknąć ja nie mogłem.
(Chodźko, 36).

For if the beings, of whom I was one, —
Hating to be so — cross'd me in my path,
I felt myself degraded back to them,
And was all clay again.
(Akt II, Sc. 2).

lenie i idea ta zaczęła się wyraźnie zarysowywać wśród mgławicy przyszłości. Lecz nie znalazło się geniusza któryby wyprowadził ją na widownię dziejową i ukazał ludzkości w słonecznym blasku prawdy i piękna jako ideał przyszłości. Zaopatrzone w swoje drobne, egoistyczne sympatye nawyknienia i przesądy, nowe pokolenie nie dostrzegło gloryi, otaczającéj czoło przybysza, a zrażone w swojém poczuciu artystycznéj elegancyi jego ubogiemi łachmanami, zapytało jak niegdyś „naród wybrany" na widok Chrystusa: „Czyż może Mesyasz rodzić się w żłobie?" i zawołało: „Ukrzyżuj go"!

Typowym reprezentantem tego drugiego pokolenia jest hr. Henryk.

W żadnym utworze poetyckim rozbrat, cechujący nasze stulecie, nie znalazł wyrazu tak doskonałego, tak wszechstronnego, tak ogól ie ludzkiego, jak w tym poemacie, należącym treścią do środka stulecia, a poprzedzającym na lat piętnaście chwilę dziejową w któréj rozbrat ów doszedł do walki w czynie, jak ją proroczo niemal nakreślił wieszcz nasz w poemacie. „Nieboska Komedya" jest może najgłębszém dziełem XIX stulecia i tak charakterystycznem dla niego, jak Faust dla XVIII-go.

Nieboska Komedya jest dramatem dziejowym naszego stulecia, obrazem zapasów, które stacza przyszłość z przeszłością, a bohatér jéj, jak i geniusz zbiorowy pokolenia, do którego należał, staje, niestety, po stronie przeszłości.

Hrabia Henryk jest również jak Manfred arystokratą, jest postacią również kosmopolityczną, równie jak i tamten nie zajmuje żadnego dającego się określić punktu geograficznego. Lecz gdy Manfred tylko mówi i marzy, hr. Henryk działa. Mimo to czyn jego zostaje jałowym i nic mu nie gotuje prócz rozpaczy. Całe życie jego napełnia rozdźwięk pomiędzy wysokim polotem fantazyi a rzeczywistością, o którą się rozbija.

Manfred został tylko materyałem na bohatéra; nie dokonał on czynu, bo nie znalazł idei, którą by mógł w czyn wcielić; hr. Henryk rozminął się z tą ideą i zbłądził w swoim czynie.

Dla czego?

Bo miał w sobie połączoną naturę idealisty i pseudo-estetyka. Jako idealista kochał prawdziwą wielką poezyę ideałów; kochał ją w marzeniu i w życiu i pragnął pierwsze przenieść do drugiego. Jako pseudo-estetyk chciał razem z ideałem przenieść do życia i otaczającą go w poezyi świąteczną szatę, a gdy rzeczywistość kłam zadawała tym

pragnieniom, odrzucił jednę i drugą, aby cofnąć się do obozu ludzi którymi pogardzał, pod sztandary idei, w któréj przyszłość nie wierzył.

W znacznie późniéj napisanym „Niedokończonym Poemacie" przedstawia nam autor „męża" z Nieboskiej jako młodzieńca, który, również jak i młody Manfred, marzy o szczęściu rodu ludzkiego a w „Snie" odczuwa wszystkie jego bóle i cierpienia, dostrzega tę krzywdę, z któréj ma wykwitnąć idea przyszłości. Lecz gdy pod sztandarami téj idei staje do walki obóz Pankracego, Henryk zostaje zrażony jéj niestetycznemi formami, jéj materyalistycznemi hasłami i rzuca się w obronę przeszłości...

Zbliża Henryka do Płoszowskiego znowuż pewna niepraktyczność życiowa, nieumiejętność skorzystania dla swoich celów z nasuwających się okoliczności, to co Płoszowski nazywa „nieudolnością życiową" chociaż przyczyny niepowodzeń obu są różne: u jednego zbytnia porywczość do czynu, u drugiego—wahanie się i bierność. Nieszczęściem jednego i drugiego jest, że nie umieją znaleźć właściwego dla siebie czynu na polu szerszém, co wynika raczéj z ich stosunku do epoki niż z osobistych skłonności. Henryk błądzi w wyborze żony jak późniéj zbłądzi w obiorze obozu, którego ma bronić. Pierwszą porzuci bo jeszcze miewa złudzenia; drugiego nie chce odstąpić, gdyż duma i brak wiary, zachwianéj poprzedniemi osobistemi rozczarowaniami, stoją mu na przeszkodzie.

Idealizując przeszłość a nie chcąc zrozumiéć przyszłości dla tego, że inne, niż on uroił, przybrała kształty, staje w obronie tego, co się przeżyło, nie jak bohater idei, lecz jak ambitny egoista, zakochany w swoich mrzonkach.

Wprawdzie i ambicya jego i egoizm nie są tuzinkowe, ani nawet osobiste w pospolitém znaczeniu wyrazu. Pierwsza nie dąży do zewnętrznych oznak chwały i władzy, ani do wyniesienia siebie nad wszystko, ale pragnieniem jéj—położyć swoję osobistą pieczęć na ten cały wyłaniający się z chaosu dziejów świat przyszłości. Chce go takim jakim go wyśnił w marzeniach swoich, a jeśli ma być innym, to niech lepiéj zginie! Staje przeciwko temu nowemu światowi i gniewa się, że „poezya kiedyś go ozłoci". Egoizm jego jest wyłącznem ukochaniem marzeń własnych, celów własnych, choć nie ku własnéj korzyści ani własnemu wyniesieniu skierowanych. Nie o ludzi, nie o szczęście pokoleń mu idzie przedewszystkiém, ale o to, aby dramat dziejowy odegrany został według estetycznych wymagań jego rozpieszczonéj wyobraźni. Dla tego też staje po stronie upadającéj przeszłości, bo sprawa zwyciężonych jest sympatyczniejszą dla poety, bo obóz Pankracego wystawia brutalnie hasła materyalizmu i użycia:

„Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie!.

Szlachetny hrabia, który nigdy w życiu nie zostawał bez chleba i opału, a nie potrzebował zarobku, zapomniał że ludzie mogą być głodni, zmarznięci, znużeni...

Wprawdzie porywa go na krótko ta myśl przyszłości, gdy w chwili jasnowidzenia odsłania mu się w całéj pełni:

„Ogarniam wzrokiem raz ostatni, podchwytuję myślą ten chaos, dobywający się z toni czasu, z łona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich; gnane szałem, porwane rozpaczą myśli moje w całéj sile swéj kołują.

„Boże, daj mi potęgę, któréj nie odmawiałeś mi niegdyś—a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny — on siebie sam nie pojmuje.—Lecz słowo to moje będzie poezyą całéj przyszłości!"

Prawda, że ten świat nowy siebie nie pojmuje; wyznaje to i Pankracy, gdy w chwili zwątpienia mówi do téj idei, w imię któréj walczy: „Świat nowy utworzyłaś naokoło siebie, a sama błąkasz się i nie wiész czém jesteś"... A chociaż zwycięzca, nie wié, co począć po dokonaném zwycięstwie. Przeznaczenie jego kończy się, gdy upada ostatnia twierdza przeszłości — okopy Swiętéj Trójcy. Pankracy to wcielenie żywiołowéj siły konieczności dziejowej i rozkładającéj analizy rozumu, czuje on sam, że nie wytryśnie z niego żadna myśl twórcza, a przyznaje, że „świat jego nie wyrósł jeszcze na olbrzyma, łaknie dotąd chleba i wygód, ale przyjdą czasy"!... Tak, stworzenie nowego pozostawia się czasom przyszłym... Za to w swéj roli burzyciela jest zupełnie pewny siebie, gdy woła: „zgrzybiali, robaczliwi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym zgłodniałym i silnym". A nie odstrasza go przeczucie, że sam nie będzie już świadkiem owych „czasów przyszłych". Będąc wcieleniem fatalizmu dziejowego umié uchylić czoła przed koniecznością:

„Nie łudź się marną nadzieją, bo nie draśnie mnie ołów, nie tknie żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co późniéj nastąpi, to już wam nic z tego"...

Gdyby zamiast pozostawiać poezyi przyszłości „ozłocenie" tego obozu, Henryk, ukochawszy myśl jutra, opromienił ją blaskiem ideału, niezawodnie była by zwyciężyła nie tylko w czynie, ale i w duchu, a nie uginając się przed koniecznością faktu, przed fatalizmem dziejów, była by porwała życie za sobą; orle skrzydła ducha podniosły by ludzkość o jeden wielki szczebel wyżéj ku niedoścignionemu tajemniczemu celowi dziejów...

Ale nie ma już wiary w siebie Henryk, a zbyt ukochał mrzonki własne, by zajrzeć śmiało w oczy rzeczywistości i z miłością wygrze-

bać złote ziarna prawdy wśród chaotycznych gruzów przeszłości i niejasnych marzeń przyszłości. Nawyknienie brać wszystko z punktu widzenia efektów artystycznych, być swoim własnym widzem, owo rozdwojenie ducha, który, porwany w czyn, nie traci jednak zdolności badania i spostrzegania, stworzyło w nim ustawiczną niewiarę w szczerość swoich popędów. Jak we wszystkich ważnych okolicznościach życia, tak i tu głos złego ducha, głos wewnętrzny, woła doń „dramat układasz!"

Zajrzała mu w oczy sława, „stary orzeł wypchany w piekle, zdjęty z pala, kędy go strzelec zawiesił w jesieni" i woła:

— „Nie ustępuj, nie ustąp nigdy, a wrogi twe, podłe wrogi twe pójdą w pył!..."

Wstyd mu odstąpić obozu, który raz obrał, przyjemność walki pociąga ku sobie:

— „Nie ma rozkoszy, jak grać w niebezpieczeństwo i wygrywać zawżdy, a kiedy przyjdzie przegrać, to raz jeden tylko!"

A przytém porywa go chęć zemsty:

— „Zemsta za shańbione popioły ojców; przekleństwo nowym pokoleniom; ich wir mnie otacza, ale nie prze za sobą."

Szerszy powiéw tchnienia społecznego tylko przeleciał nad tą piersią ale jej nie wzruszył. Jak zgniótł kobietę, goniąc za chorobliwemi mrzonkami rozpieszczonego serca, tak w imię romantycznego uroku umierającéj przeszłości miażdży współtowarzyszy boju, poświęca ich w walce bez nadziei i celu, jedynie dla ostatniego efektu dramatycznego, aby mógł jak bohater umrzeć na gruzach zdobytej przez nieprzyjaciół twierdzy, aby nie poddać się żywcem.

I najwierniejszy z sług jego przeklina go a wyrok dziejów—może zbyt surowy—potępia go w tych słowach:

„Za to żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś, potępion na wieki."

. . . . . .

Poświęcić wszystko dla przekonań swoich, oddać za nie życie swoje i życie blizkich — jest bohaterstwem, jest cnotą najwyższą, ale wtedy gdy cześć i miłość tkwi w głębi tego poświęcenia: cześć dla ideałów, miłość dla ludzi. Henryk nie ma ani jednéj, ani drugiego. Dla tego nie uwielbiony, lecz przeklęty i sam przeklina siebie. Nawet w swych marzeniach o synu, jak to słusznie zauważył już p. Tarnowski, Henryk myślał o sobie i siebie kochał.

— „Żadnéj wiary, miłości, nie ma we mnie, jedno kilka przeczuciów krąży w téj pustyni: o synu moim, że oślepnie, o towarzystwie

w którém wzrosłem, że się rozprzęgnie: i cierpię tak jak Bóg jest szczęśliwy sam w sobie, sam dla siebie."

Pyszałek z zimném sercem i próżną piersią, z ognistą wyobraźnią i szaloną dumą:

„Człowiekiem być nie warto — Aniołem nie warto. — Pierwszy z Archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu uczuł nudę w sercu swojém i zapragnął potężniejszych sił. — Trzeba być Bogiem lub nicością!"

— Padnij w proch przed sobą samym — taki jest odwieczny głos szatana, gubiącego wielkie duchy.

Henryk należał do olbrzymów duchowych i spadł w przepaść „nakształt katarakty", jak o tém marzył Manfred... Jak Manfred chciał dźwignąć wiele, ale źle obrał cel wysiłków, bo zbyt zaślepiony był miłością własną.

V.

Pomiędzy rzucającym się w wir dziejów romantykiem-marzycielem a niezdolnym do czynu sceptykiem-rezonerem, staje postać, która jest wynikiem zawodów pierwszego a przyczyną niemocy drugiego— oderwany od życia doktryner. Postać ta nie wchodzi jako ogniwo do genetycznego łańcucha wiążącego typowych przedstawicieli inteligencyi XIX stulecia; ale jest wychowawcą ostatniego pokolenia, na które działa niejako ze strony; i nie zostaje do niego w tym stosunku jak ojciec do syna, lecz jak nauczyciel do ucznia. Ale uczeń przejmując od rodziców temperament, skład uczuciowy, usposobienia i skłonności, kształtuje to wszystko pod wpływem idei nauczyciela. Postać tę więc powinniśmy tu wprowadzić, aby zrozumieć Płoszowskiego.

Rok 48-y dzieli nasze stulecie na dwie, rażąco nie podobne do siebie połowy. Rok ten jest chwilą upadku pewnego poglądu na świat, którego ideom kłam zadał czyn. Filozofia ideału i wielkie marzenia społeczne stają w sprzeczności z życiem dziejowém, które, urągając szlachetnym marzycielom, z usiłowań ich robi awanturnikom, jak Napoleon III, podnóżek do tronu a z idei postępowych wieku tarczę dla egoizmu klasowego.

Zrażone temi smutnemi owocami filozofii, zawiedzione w swoich nadziejach, młode pokolenie szukało innych haseł filozoficznych, innych celów w życiu. Dość marzycielstwa, prawda naga, prawda na wszystko obojętna, przed niczém się nie wstrzymująca niech będzie jedynym przewodnikiem naszym! Nie oglądajmy się na to, czy jest użyteczną czy szkodliwą, pociągającą lub wstrętną, bo ostateczny jéj wy-

nik będzie zawsze dobry. Precz z ideałami, które nas zawiodły na rozdroża; myśli trzeźwéj, myśli naukowéj otwórzmy podwoje. Cześć dla rzeczywistości, pogarda dla mrzonek!

Tak rozumowało pokolenie, które było świadkiem rewolucyi 48 r.

> Karłowacieją myśli, gasną serc wulkany,
> Dzieje już nie brzmią hymnem wiary archanielskiéj,
> Wiek rozumu, jak tabor ciurów rozpasany
> Opycha brzuch podbitéj materyi cielskiem...

Co popsuli marzyciele, naprawić mieli doktrynerzy; ale jak pierwsi błądzili nie dla tego, że byli marzycielami, lecz dla tego, że nie chcieli się liczyć z rzeczywistością, tak teraz drudzy zapomnieli, że rzeczywistość jest tylko gliną, z któréj lepi duch, ów wieczny artysta świata; gliną, którą znać potrzeba, ażeby dobrze obliczyć wysiłki nasze dla otrzymania pożądanych kształtów, ale która nie jest i nie może być ich prawodawczynią. Uczucie i wyobraźnia zawiodły—powołano do pracy rozum, i to tę część rozumu która najmniéj się wiąże z wyobraźnią, któréj obca jest wszelka twórczość, wszelka synteza. Analiza staje się głównem narzędziem, a fakt głównym przedmiotem poznania. Wszystko co nie jest „faktem", wyrzuca się precz jako towar zakazany. I nie tylko „fakt" zostaje jedynym przedmiotem wiedzy, jedyną rzeczą, zasługującą na uwagę, ale niebawem staje się jedynym prawodawcą w życiu.

„Wszystko co możliwe—istnieje gdziekolwiek w rzeczywistości", uczył materyalista starożytny Epikur. — „Czego nie ma w najbliższéj nas rzeczywistości, jest niemożliwe" wygłosił materyalizm dzisiejszy. Kategorye obowiązku i ideału zostały wyrugowane: na miejscu „powinno być" i „pragnę aby było" stanęło z wszechwładną wyłącznością: „jest".

„Istniejący fakt" staje się Bogiem. Był to tylko krok naprzód od myśli Hegla, że wszystko co istnieje jest rozumne. Wniosek ztąd błędny pod względem formalnym jak i pod względem treści: więc to co nie jest rzeczywistością stanowi mrzonkę, urojenie i niemożliwość —wniosek ten wysnuło chętnie pokolenie, które z całéj nauki Hegla zachowało tylko jego pogląd na dzieje jako prawidłowo z nieubłaganą fatalnością rozwijający się proces, zmieniając jedynie terminologią filozoficzną na przyrodniczą, i przenosząc na całą przyrodę wyprowadzoną z ludzkich dziejów ideę p o s t ę p u pod nazwą e w o l u c y i.

Te ogniwa pośrednie pomiędzy pokoleniem marzycieli a pokoleniem schyłkowców znalazły wyraz i w naszéj literaturze.

Dusza poety podobna jest do owéj czarodziejskiéj skrzyni, do któréj dość wrzucić słowo, ażeby stworzyła rzeczywisty przedmiot. Każda abstrakcyjna myśl epoki, każda dążność umysłowa lub moralna, potrącając o umysł poety, budzi w nim siły twórcze, które wydają żywą postać, wcielającą w sobie tę ideę lub dążność. Słowo ubiera się w ciało. Ale utwór poetycki jest nieraz kopalnią złota potrzebującą swego górnika, aby ukryte w nim skarby wyciągnął na jaw i oddał na użytek ogółu, a za nić przewodnią służy przytem znajomość dziejów i ducha epoki współczesnéj lub minionéj.

Publiczność czyta nieraz dzieło poety, zachwyca się zewnętrzną szatą, ale nie pojmuje jego głębszéj myśli filozoficznéj. Odsłonięcie jéj stanowi zadanie krytyki. Nasza poezya zawiera niemałe skarby idei, czekających jeszcze na krytyka-filozofa, który by je wydobył na jaw, wiążąc z szerszém tchnieniem życia dziejowego; postaci, które były by może równie popularnemi jak Faust, Hamlet lub Manfred, gdyby znalazł się ktoś, kto by je ukazał publiczności w należytém świetle. Jak w życiu nieraz, ocierając się o geniusz poetycki, podziwiamy jego wiadomości geograficzne lub heraldyczne i nie podejrzewamy, że są to tylko drobne i nie znaczące akcesorya umysłu; tak w literaturze przechodzimy nieraz do porządku dziennego nad wielką postacią psychologiczną, zachwycając się wzamian opisem krajobrazu lub pięknościami stylu autora. Wszak postąpili tak z Manfredem Taine i Brandes! Dramata filozoficzne Leonarda Sowińskiego, dziś prawie nieczytywane, są jednak tak bogate w myśl a tak blizkie nam, tak duchowo pokrewne... Bo też pisane były w epoce zbliżonéj do naszéj, w téj drugiéj połowie stulecia, któréj dziećmi jesteśmy [1]).

---

[1]) Za dowód tego, jak wiernie pojął poeta duch czasu, niech służą następujące urywki zwrócone, zdawało by się, wprost do dzisiejszych „arystokratów ducha“:

Gdy lud, zważywszy Wasze rozumy
I strupieszałéj piersi popioły,
Odepchnie próżne roszczenia dumy,
Wy, jak strącone rycząc anioły,
Ciskacie gromy na ciemne tłumy
I znieważacie myśli kościoły...
Czemuż téj ciżbie służyć nie chcecie,
Kiedy przewodzić jéj nie umiecie?!
. . . . . .
Jałmużna wasza o kamień dzwoni,
Modlitwa echem od ścian powraca,
Anioł od westchnień kłamanych stroni...
Faryzeusze! tu wasza płaca:

Jeden z nich pod tytułem z „Życia" należy właśnie do wspomnianego okresu przełomu; znajdujemy też w nim postać doktrynera — mistrza pokolenia Płoszowskich. Jest to raczéj szkic dramatu niż dramat. Charaktery zaledwie nakreślone. Postaci pojedyncze mają zbyt abstrakcyjny charakter, mniéj przemawiają do wyobraźni. Filozof przeważa tu nad poetą. Jak w Fauście lub Egmoncie Göthego całkowita i wszechstronna, postać człowieka-autora rozkłada się na kilka, z których każda jest wcieleniem mniéj lub więcéj jednostronnych władz ducha. Ale jakże każda z nich typowa! I czyż nie spotykamy w życiu takich, do których wprost można by przyczepić charakterystykę Uga lub Ludomira, Henryka lub Adama?

Doktór Ugo to doktryner, to wcielenie jednostronnéj wszechwładzy rozumu, badającego dla samego poznania, ale co go czyni doktrynerem—gdyż bez tego był by tylko oderwanym od życia uczonym—to chęć nagięcia życia pod tę naukę, z któréj poprzednio wyrugował wszelkie pierwiastki wiążące ją z życiem, a przez to uczynił oschłą i jałową; chęć zostania prawodawcą rzeczywistości, któréj nie rozumie, narzucenia jéj formy, któréj sam nie posiada.

Bywają chwile, że tacy zabierają głos; chwile jałowości duchowéj, kiedy tłum szukający sobie przywódzcy w braku geniusza idzie za

---

Bo tu na ziemi, wszystko już macie,
I dymy wonne i skarb niemały,
I pośród jęków troski nie znacie...
Grób ten wasz — wiecznie zimny i biały!
Lecz tam, na sądów niezłomnych szali,
Kropelka potu lub krwi Łazarzy
Nad hymny wasze Boga pochwali
I przyszłość ludów przeważy.
Bo wiara żywa czynem się pleni.
A wy ją w słowo trupie zamknęli....

A oto znowu przepowiednia, jedna z tych, które stają przed okiem duchowém wielu współczesnych, którą w innych nieco wyrazach wygłasza i Płoszowski:

Czasem na dziejów bezwładnéj fali
Długo spróchniały korab nie tonie...
Lecz niech po żaglach wicher powionie, —
Rozkołysany, wnet się rozwali,
I pracę wieków chwila pochłonie...

Bo też:

Pełno plam czarnych w zbiorowym duchu,
Gdy rdza próżności siły mu strawi,
Gdy każdy pierścień w bratnim łańcuchu
Odrębne sobie cele postawi.

doktrynerem... Staje wtedy chwilowo na czele społeczeństw, prowadzi je... ale dokąd? Sam tego nie wié! Bo brak myśli twórczéj, myśli żywéj, myśli płodnéj — to cecha doktrynerów. Ta analiza, któréj wszystko poddają, umié tylko rozkładać, ale nie budować. A gdy chwytają za sztandar, który wypadł ze zdrętwiałej dłoni geniusza czynu, dźwignąć go nie są w stanie. Zdaje im się że burzą jak tytany, gdy tymczasem rozkładają spruchniałe już trupy, jak robactwo mogilne. Uganiając się za jakąś prawdą abstrakcyjną, prawdą dogadzającą ich wysuszonym mózgom, potrzebującym wszystko klasyfikować, abstrahować, określać, tracą z oka tę prawdę żywą, która stwarza czyn. Więcéj niż tracą, bo ją ignorują.

Dla mrzonek, które wylęgają się w ich głowach wśród oderwanéj od życia kontemplacyi, gotowi są poświęcić najżywotniejsze interesy społeczne. Są to ludzie pozbawieni zupełnie zmysłu społecznego, którzy jak Renan zajmują się „niewinnemi marzeniami" o przyszłéj rasie dewasów-nadludzi, kiedy ojczyznę ich szarpie wojna domowa, lub jak Taine roztrząsają z punktu widzenia lekarza-psychiatry najświetniejsze karty dziejów swego narodu. Wylęgłe w ciszy pracowni myśli rzucają doktrynerzy na łup publiczności, którą porywają błyskotliwością lub rzeczywistym talentem stylu, oryginalnością prawdziwą lub naśladowaną, istotną lub udaną wiedzą, szerząc często w ten sposób zarazek moralny, którego skutków sami nie są świadomi. Zresztą rzadko bywają myślicielami oryginalnymi. Najczęściéj są to ludzie, którzy tylko zręcznie umieją korzystać z doby dziejowej dla dogodzenia swojéj nieproporcyonalnéj do zdolności ambicyi lub dla zabłyśnięcia pożyczonym blaskiem. Porywają więc od wieków spoczywający w zbrojowni myśli ludzkiéj oręż, wyciągają go na jaw, powlekają świeżym pokostem i wywijają przed oczyma tłumu. Jak zwykle w życiu, tak i u Sowińskiego Ugo jest tylko uczniem. Nauczycielem jego—doktór Omega, który niegdyś „wszystko zamknął w pierś własną" a teraz spędza ostatek dni w domu obłąkanych. Ugo jest tylko „jedną z najpiękniejszych myśli jego". Ten waryat żyje w świecie własnych abstrakcyi i nie chce znać innego świata, jak go nie znał, kiedy jeszcze był uczonym. Nie był i wtedy szkodliwy dla społeczeństwa, jak nie jest nim dziś—zdzieciniały waryat, za kratą domu obłąkanych. Jak pająk z siebie i dla siebie snuł tkaninę myśli swoich. Ale Ugo pochwycił te myśli i rzucił je tłumowi; przez nie chciał się wznieść, przy ich pomocy zapanować nad masą. I Omega, gdyby nie był waryatem, był by tak zdziwiony tém co z nich wynikło, jak Prometeusz w prześlicznym i głębokim obrazku p. Konopnickiej przerażony zostaje użytkiem, który Syzyf zrobił z jego boskiego daru. Omega, jako myśliciel i uczony,

szukał szczerze prawdy, a nikt mu za złe nie weźmie, że szukając jéj zbłądził, i za tę szczerość wybaczamy mu nawet zarozumiałość jego. Ale Ugo niczego nie szukał, wszystko znalazł gotowe i nawet nie zadał sobie pytania, czy ta prawda jest rzeczywistą prawdą? Czy dobrą jest w zastosowaniu? To ostatnie mógł śmiało pominąć Omega, ale nie Ugo, który z „prawdy" abstrakcyjnéj robi praktyczne hasło życia, który ją rzuca tłumowi na użytek codzienny.

Buckle w swojéj „Historyi cywilizacyi" zastanawia się nad pytaniem: jak powinniśmy postępować z prawdami, które mogą pociągnąć złe następstwa? Widać tu nietylko poważnego i uczciwego badacza, szukającego prawdy przedewszystkiém, hołdującego zasadzie, że światła nie należy kryć pod korcem, ale i człowieka - obywatela, którego dręczy obawa, czy ta jego miłość prawdy i prawdomówność nie staną się źródłem złego?

Starcie pomiędzy jedném a drugiém boli go i wyciska mu owe liryczne pełne smutku stronice, odbijające jego charakter moralny... Doktrynerów to nic nie obchodzi; są to *enfants terribles* postępu, którzy gotowi są każdą hypotezę lub teoryą naukową zawiesić na kiju i zrobić z niéj sztandar. Jak gdyby, po za czysto naukową ciekawością, ludzkość mogły cokolwiek obchodzić pytania: czy gatunki są stałe, czy się zmieniają; czy jest cokolwiek oprócz „atomów i próżni", lub podobne do tych zagadnienia! — Nie pytają się o następstwa tych haseł, wykutych z teoryi wytworzonych w zupełnie innym celu; nie myślą o tem, że te ich „prawdy" mogą być tylko częścią prawdy istotnéj, albo nawet złudzeniem. Błędna teorya naukowa w pracowni Omegi mogła być tylko stopniem przygotowawczym do prawdziwéj; wyniesiona na targowisko interesów, przekuta na hasło przez Uga, stała się źródłem odrętwienia, letargu moralnego. Imponują tacy przez jakiś czas masom, ciągną je za sobą, dopóki nie ujawni się, że wspaniałe obietnice wygłoszone w imieniu wiedzy są tylko złudzeniem krótkowidzów; że cała ta ich mądrość, to

Widmo w blasków stropie pęku
Z nieskończoną próżnią w łonie...

i wtedy tłumnie porzuca ich masa tak, jak się tłumnie poprzednio ku nim cisnęła, skoro taki Ludmir zagrzmi hasłem żywotném. A oni zostają osamotnieni, nie rozumiejąc teraz porażki swojéj, jak nierozumieli krzywdy, którą społeczeństwu wyrządzali; dobrze jeszcze jeśli mają tyle rozumu i poczucia sprawiedliwości, aby razem ze wszystkimi uczcić Ludmira po dokonaniu jego dzieła, jak to czyni Ugo.

Postać ta jest u Sowińskiego jakby wcieleniem kolei, które prze-

chodził duch ogółu, tylko że ta faza w któréj go zastaje dramat jest raczéj proroctwem dotyczącym późniejszego okresu niż ten, w którym był pisany [1]). Duch wieszczy służył tu poecie jak i autorowi Nieboskiej Komedyi; niektóre sceny robią takie wrażenie, jakby były wczoraj napisane:

LUDMIR. Któż dzisiaj bóstwem rzymskiego tłumu?
HENRYK. Wenecyanin, przesławny Ugo!
LUDMIR. Znam go. W nauce ukrył się z dumą...
Na jakież losy czeka tak długo?
. . . . . .
. . . . . .
HENRYK. Księgi go chłoną, czynem pomiata.
Zanadto wątpi...
LUDMIR. A wpływ że jego?
HENRYK. Zabijający! — Ma on tu Lożę:
Stu w niéj wybranych co dzień zasiada
Prawdziwa mędrców szalonych rada —
Gdzie, jak bandyci na ostre noże,
Walczą na myśli.
LUDMIR. Igraszka babia!
Niewarta śmieci! — A sam że Hrabia
Czy także walczy?
HENRYK. On wszystko wali.
LUDMIR. A tłum co na to?
HENRYK. Kadzidła pali.
LUDMIR. Cóż on ma w piersiach?
HENRYK. Tylko zwątpienie.

Sam sobie to wyznaje Ugo, gdy mówi:

Szalony! Kruchą czaszką biję w mur z granitu
I zamiast ostatecznéj prawdy dla ludzkości,
Trudem krwawym zdobywam próżnię niepewności
I wieczny, wieczny rozbrat myśli mej i bytu.

Lecz wobec tłumu wyciąga „łachman purpury", stroi się w dumę królewską, ażeby zaimponować masie:

Daléj — o bracia! W boskiém tem dziele
Duch wasz nie padnie—gdy ja na czele!

---

[1]) Dla tego téż jedyny, o ile mi wiadomo, większy rozbiór tego szkicu dramatycznego, napisany przez p. Kaszewskiego (Bibl. Warsz. 1862 r.) nie mógł oświetlić go z tego punktu widzenia, z którego dziś się przedstawia. Niech mi to posłuży za usprawiedliwienie, że tak długo na nim się zatrzymuje.

Taż sama szalona zarozumiałość dzisiejszych przedstawicieli wyższéj rasy, taż sama arogancya „arystokratów ducha" przemawiająca przez usta chóru wybranych:

Błyskawic strumienie
Wytrysły nam w głowie...
My Bogiem natchnieni!
My świata Bogowie!

Też same aspiracye ich do władzy bezwzględnéj, bezapelacyjnéj:

Wola nasza
Jest to rozkaz, którym Fatum
Prawa swoje Wam ogłasza...

Zdaje się że słyszymy tu majaczenia Lapouge'a o „wyższéj rasie", Renana o d e v a s a c h lub ich niemiecką trawestacyą „nadczłowieka" Nitzschego.

Poeta Henryk jest wcieleniem téj innej prawdy, któréj nie chce znać Ugo, prawdy promieniejącéj z wiecznie młodéj krainy ideałów; „cherubin natchnienia, mistrz strun i pieśni, lutnista harmonii wiecznéj." Przeciwstawny jest z jednéj strony Ugonowi jak uczucie — rozumowi, poezya wiedzy, z drugiéj Adamowi, który jest wcieleniem zwykłych ludzkich żądz, widzących ostateczny cel w ich zaspokojeniu przez użycie, kiedy Henryk przeciwnie w wieczném dążeniu ku niedościgłym ideałom widzi przeznaczenie swoje:

Mam ja kochankę! pierś moja wrząca
Gwarzy z nią piosnką tajemną..
Postać jéj wiotka od lat tysiąca,
Przez tysiąc grobów szła ze mną.

Jaśni uśmiechem dum nieśmiertelnych,
Tęskni wspomnieniem przeszłości,
Lecim w orszaku rojeń weselnych
Na ślub ostatni w wieczności...

Nieraz w namiętném, drżącém westchnieniu
Ucho me szept jéj podsłucha,
Nieraz—w ognistych oczu spojrzeniu
Błyśnie mi promień jéj ducha...

I znowu żegnam chwile te błogie
I z widmem zaklętém w łonie,
Idę, marzący, przez lata mnogie,
Na strunach trzymając dłonie...

Miłość ta wieczna, jak czara słońca,
Światłością duch mi zalewa,..
Słowem jéj boskiém jest pieśń bez końca,
Lub czyn co wieki zdumiewa!

Adam, który zupełnie nie rozumié tego porywu ku nieskończoności, który pragnie miéć szczęście w ręku i przez to szlachetną nawet miłość swoją „zbrukał szału swego pianą", odpowiada mu z ironią:

Co za szaleństwo! raj jednéj chwili
Oszczędzać na wieki całe!
Puhar, co mgnienie jedno wychyli
Rozbryzgać w kropelki małe!...

Tacy jak Henryk — nosiciele ideałów wieku, są natchnieniem apostołów czynu. Najbliższe więc powinowactwo wiąże go z Ludmirem, bo „Pieśń bez końca" jest zwiastunką „czynu, co wieki zdumiewa." To też jedno i toż samo oskarżenie rzucają Ugonowi, jedno i to samo odpowiadają na jego roszczenia do przewodnictwa nad tłumem:

Henryk.

Precz mi w prochy karla dumo,
Co okrawkiem brudnéj szaty
Ukryć pragniesz oczom tłumu
Wiekuistych zadań światy!
. . . . . .
Kłamie wasze prawo bytu!
Nie tą drogą dziecię Boże —
Ludzkość — idąc stanąć może
U przeznaczeń swoich szczytów;
Iskrę bożą, w pierś jéj tchniętą,
Niech roznieci w żywot cały;
Myśl ofiary z nieba wziętą,
Serc najświętsze ideały —
Niech wyryje pieśnią, słowem,
Czynem wielkim i surowym
I boleścią siedmiu mieczy...
. . . . . .
Cóżeś stworzył wolą swoją?
Czy choć jeden owad lichy?...
. . . . . .
Nic nie widzę!... Czynu pole
Jedną świętą płonie chwilką...
Wiedza twoja, w marzeń kole
Zwaliskami sterczy tylko!

Wcielenie w czyn ideałów poety — jest dziełem Ludmira, trybuna; „olbrzyma ciżb, społecznych potęg męża." Sam autor mówi o nim:

Z tysiąca woli drgnień odlałem postać twoją,
Boleścią bratnich serc uolbrzymiłem duch
. . . . . .

Patrzajcież: otóż On! posępne cienie czoła
Rozdziera jasna myśl, jak piorun kłęby chmur;
Ofiarą zbrojna pierś ogromném hasłem woła,
A chór — przerażający odgrzmiewa mu wtór.

Ludmir jest geniuszem czynu. Zrozumiał on, że czyn jest prawdziwém powołaniem człowieka, że tu odnajduje on swobodę swoją:

Jeden tylko odłam świata
Bóstwem uznał ludzką wolę;
W dziejach tylko, w życiu, w czynie,
W dusz obszarach, w ludzie, w gminie
Wola męska, myśl i ramię
Samodzielnie kreślą prawa...

Te cztéry postaci przedstawiają wcielenie zasadniczych dążności natury ludzkiéj: Ugo — życia umysłowego, dążności do wiedzy i panowania przez nią; Henryk—życia uczuciem czystém, wyniesioném po nad zmysłowość, dążenia do prawdy serca i do piękna; nad sercami rozciąga on panowanie swoje. Ludmir, apostoł czynu, porywa za sobą wole ludzkie, z których „tysiąca drgnień" powstała postać jego. Wreszcie Adam — to ogólne tło natury ludzkiéj; to człowiek z jego pospolitemi i samolubemi pragnieniami szczęścia, miłości, rodziny... Pragnie on zbudować szczęście swoje na czysto osobistém uczuciu i to w takiéj chwili, kiedy wszystko dokoła porywa wir dziejowego czynu. Adama każdy, nawet bohater, ma cząstkę w sobie; jest to zupełnie ludzkie... Ludzkie, ale nie zwierzęce, jak stara się przedstawić okłamująca rodzaj ludzki beletrystyka francuska z ostatnich lat dwudziestu.

Dramat osobisty Adama i Ewy — zdaje się jakoby samemi imionami chciał poeta zaznaczyć praludzkie znaczenie tych postaci — przebiega tu równolegle do dramatu dziejowego; zachodzi tu stosunek odwrotny, względem tego, jaki jest w Nieboskiéj: tam żona—tu mąż kończy w domu obłąkanych. Ewa tu odczuwa całe niezadowolenie z tego życia we dwoje i dla dwojga, a gorycz jego potęguje się tém jeszcze, że odepchnięta przez Ugona, bez miłości przyjęła rękę Adama. Popełniła w tém wielki błąd, za który pokutuje głównie Adam: całą swoją istotę położywszy w tę miłość, traci rozum, gdy się dowiaduje, że zawiódł się na niéj, a mimo całéj szczerości jego uczucia, budzi on jednak politowanie prędzéj niż współczucie. Jego nieszczęście, jest wynikiem jego winy tragicznéj: obojętności zarówno na wymagania społeczeństwa, potrzebującego w téj chwili stanowczéj pomocy wszystkich swoich członków, jak i na dążność ku szerszym zadaniom Ewy, która skarży się, że mężczyźni przywłaszczyli sobie i ukryli oczom kobiety:

to wszystko czém świat promienieje —
Porywy serc bratnich w niebiosa wpatrzonych,
Skarb myśli i woli i mądrość i dzieje...
. . . . . .
Że sercu kobiety zamknięta kraina
Dum wzniosłych i czynów...
Napróżno wołamy: powietrza i słońca,
Wy tylko, jak orły, poicie się niemi;
Kobieta wzgardzona więdnieje bez końca,
Jak lilija wiotka, nagięta ku ziemi.

Tego, czém poją się orły, nie mógł jéj dać Adam, bo sam orłem nie był; przeznaczenie kobiety widział on zgodnie z filistrami wszystkich epok w „orzeźwianiu" mężczyzn „nektarem żywota, poezyą, szczęściem"; skończyło się więc na tém, że „wszystko zbrukał szału swego pianą."

Jak w potopie fiołków Heliogabala
Serce moje śród pieszczot namiętnych zamiera
Napróżno drżące, biedne z kwiatów się wydziera
Oddech jego piekielny skrzydła mu opala.

Tak skarży się Ewa i „brzydzi się sobą" i pierś jéj „noc zalewa okropna jak zbrodnia." Gdy Henryk jéj mówi o miłości dla męża, wybucha śmiechem, a śmiech ten, dosłyszany przez Adama, staje się śmiercią jego ducha.

Ugo jest arystokratą myśli; hrabia Henryk — arystokratą uczucia i wyobraźni. Obaj wznoszą się nad otoczenie swoje, ale zimno społeczeństwu od téj wyższości; tylko ujemne ziarna sieją w myśli i czynie... Bo nie mieli téj miłości dla ludzi zwyczajnych, nie-poetów i nie-bohaterów, téj miłości, która każe zbliżyć się do nich i podnieść do siebie, zamiast uciekać od nich i sarkać zdaleka; miłości, która każe odczuwać ból wszystkich cierpiących, płakać łzami wszystkich w niedoli porzuconych, przez którą zapominają się własne, nieraz okropne cierpienia, na myśl o tém, jaką znikającą kroplę stanowią one wśród bezmiaru niedoli świata.

Wszyscy wymienieni tu bohaterowie, zarówno Manfred i Henryk, jak i Ugo, przeciwnie do potwornéj wielkości wydymają własne niepowodzenia, niekiedy urojone bóle, z pogardą patrząc na rzeczywiste męki innych, którzy czują może mniéj subtelnie, może mniéj boleją nad rzeczywistym, ile te wyjątkowo wrażliwe natury nad urojonym smutkiem, ale cierpią i boleją jednak.

Zapatrzeni są w siebie i drobna ich istotka rośnie, wydyma się do rozmiarów potężnych, olbrzymich; pochłania ich cały byt, zapełnia całą myśl, zasłania im szeroki świa t.

A wielka myśl społeczna kiełkuje tymczasem, rośnie, ale formy znaléźć nie może; bo nie umié jéj stworzyć instynkt tłumu, a geniusze odbiegli od niego, wzbili się w obłoki i zajęci szarpaniem własnych wnętrzności, zapomnieli o nim.

I myśl ta czepia się takich Pankracych, geniuszów zniszczenia...

. . . . . .

Ubiegł szereg lat, który wiele zmienił. Myśl po bezowocnych próbach wcielenia jéj w czyn, odtrącona i zgnębiona przez pokolenie Henryków, ostatnie, co arystokratyzm zrozumiało jako posłannictwo dziejowe, obniżyła chwilowo polot, przechodząc do demosu. Jak ptak z podciętém skrzydłem upadła z nieba na ziemię i wlecze się po niéj...

I wielkich mężów przestała tworzyć myśl poetów, a wiek „wylęgły w grobach, wzrosły na ruinie" wydaje od czasu do czasu takich niedoszłych poetów, natury wrażliwe, pragnące „wylatywać nad poziomy..." Ale nie mają dziś one tego promiennego wzroku, którym wieszcz każe „przeszywać ludzkie ogromy"; bo zgasło już wielkie słońce ideałów. Doktrynerzy wygnali je z życia i kazali ukorzyć się przed faktem; a wspomniane natury wrażliwe, „poeci życia" nie są prawdziwymi poetami czynu, nie są geniuszami twórczymi, którzyby potrafili utorować nowe własne drogi. Czémże się staną? Wydadzą Płoszowskich...

VI.

Polem właściwém dla eposu i dramatu jest czyn, bez którego nie ma akcyi. Mimo to widzimy niekiedy udatne utwory epiczne lub dramatyczne, których główni bohaterowie cierpią na zupełny brak postanowienia do czynu, na „chorobę woli", jak trafnie określił P. Chmielowski[1]), stan psychiczny Płoszowskiego. Akcya w takim razie przebiega niezależnie od woli bohatera, pociągając go za sobą. Jego czynności podobne są do ruchów automatu, a zadaniem poety staje się odsłonięcie przed czytelnikiem tego wewnętrznego mechanizmu sprężyn, których starcie się powoduje nie ruch, ale bezwładność.

Odwiecznym pierwowzorem podobnéj chwiejności jest Hamlet, typ powszechny co do czasu i przestrzeni. Płoszowski chociaż mimowoli nasuwa z nim porównanie, jest jednak charakterystycznym wytworem końca naszego stulecia i zasadniczo różni się od swego pierwowzoru z początku XVII-go wieku. Hamlet nie jest duchowym ojcem Płoszowskiego; poprzedników tego ostatniego powinniśmy szukać nie wśród oderwanych od biegu czasu typów, lecz w zupełnie określonéj dobie dziejowéj.

---

[1]) „Ateneum" 1890. „Choroba woli."

Pod względem myśli Płoszowski jest uczniem Uga, tak jak Ugo — uczniem Omegi. Jest on jednym z tego tłumu, któremu rzucał Ugo zmienione na zdawkową monetę, obniżone do jego poziomu doktryny Omegi. Płoszowski jest nawskróś przetrawiony rozkładowym fermentem téj nauki.

Pod względem wyobraźni i wrażliwości, jest tak samo rozpieszczony, jak Manfred lub Henryk, o tyle tylko niżéj stojąc od nich, o ile i w tym kierunku oddziałał nań ferment epikureizmu, zarówno ceniącego wszelkie rozkosze i brak „dogmatu", usuwający skalę wyższości lub niższości.

Ale pod względem uczucia i woli jest Płoszowski dzieckiem swego czasu, wytworem „swego rodzaju" (*sui generis*), nie mającym nic podobnego sobie w postaciach poetycznych minionych okresów. Bo brak woli Płoszowskiego nie da się, jak już wspominałem, zestawić z chwiejnością Hamleta, a wyjaśnienie przyczyn téj „choroby", stanowi istotę zagadnienia psychologicznie-społecznego, na które odpowiedzią, może trochę jednostronną, lecz w każdym razie trafną, jest tytuł powieści: „bez dogmatu."

U Hamleta przyczyną wahania się nie jest wątpliwość co do wyboru drogi, ale niepewność tego, czy on stoi na téj drodze, o któréj wié, że jest dobrą; Płoszowskiemu przeciwnie brak jakiejkolwiek pobudki, dla którejby miał wybrać raczéj jednę lub drugą; idzie tą, na którą go fala wyrzuci i nie ma żadnego powodu szukać innéj. Jedynemi pobudkami, które nim kierują, są nawyknienia, względy przyzwoitości, chwilowe upodobania, nie wiem co wreszcie, co nawet w jego własnych oczach ma tyleż znaczenia, jak barwa rękawiczek lub kształt krawata.

„Zatraca się we mnie w pewnym stopniu poczucie różnicy między złém i dobrém, pisze Płoszowski po upadku swoim, a co więcéj, różnica ta staje mi się obojętną. Przypuśćmy, że jesteś gorszy, niż byłeś — więc cóż z tego? Dlaczego masz męczyć się z jakichkolwiek powodów?"

Przystępując do szczegółowego rozbioru psychologicznego głównéj postaci z powieści Sienkiewicza, powinniśmy ustrzedz się przedewszystkiém możliwych błędów, wynikających z pamiętnikowéj formy, która, zdaje się, że uwiodła niektórych z krytyków naszych.

Prowadząc opowiadanie w pierwszéj osobie, autor musi zamilczać i kazać domyślać się czytelnikowi o pewnych rysach charakteru swego bohatera, których wypowiedzenie przez niego samego mogłoby nietylko zrobić niemiłe wrażenie, ale wprost przedstawić go w fałszy-

wém świetle; tak np. nie może włożyć mu w usta pochwał dla swoich zalet lub powodzeń, jeśli nie chce go przedstawić zarozumialcem lub fanfaronem.

Powtóre, człowiek piszący o sobie, może się często łudzić co do pobudek lub charakteru swoich uczynków, może uciekać się do sofistycznych usprawiedliwień przed sobą samym i t. d., a intencyą autora może być niekiedy właśnie przedstawienie tych złudzeń lub sofisteryi jako takich.

Powieść w formie pamiętnika wymaga ze strony czytelnika więcéj wyobraźni i głębszéj analizy niż zwyczajne opowiadania; zbliża się ona pod tym względem do dramatu, że w obu brak wskazującego palca autora; co w jedném musi dograć aktor, to w drugiém powinien sobie domówić czytelnik.

Analizując charakter Płoszowskiego, powinniśmy więc ustrzedz się podwójnego błędu: 1) Nie powinniśmy brać za czystą monetę jego złudzeń, urojeń i wybryków lub pięknych słówek, których chociażby w najskrytszych i najszczerszych wynurzeniach nie może się ustrzedz człowiek przyzwyczajony do ciągłego pozowania w życiu, człowiek, którego jedyném polem działalności był salon. 2) Nie należy zapominać, że widzimy jego osobę zawsze tylko przez pryzmat jego własnych zapatrywań, które mogą być w pewnych razach zbyt czarno, w innych zbyt różowo zabarwione; w jakim kierunku i w jakim stopniu potrzebne będą tu sprostowania—wynikać to będzie z całokształtu jego charakterystyki. „Moje myśli są gorsze odemnie", mówi Płoszowski w jedném miejscu.

Przedewszystkiém zaś pamiętać należy, że bohater Sienkiewicza nie jest abstrakcyą, jak doktór Omega lub Ugo; jest on żywym i konkretnym, może nawet zanadto konkretnym człowiekiem, ażeby być skończonym typem poetyckim; że na utworzenie téj postaci złożył się cały szereg warunków, prócz tego rysu zasadniczego, który określa tytuł powieści. „Jestem istotą złożoną", mówi on sam o sobie.

Charakter typu tego jest taki, że dla najlepszego uwydatnienia jego, dla doprowadzenia wytycznych rysów do możliwego wykończenia wypadało go umieścić w pewnych wyjątkowych warunkach. Autor zrobił z niego zamożnego arystokratę, nie potrzebującego troszczyć się o chléb powszedni, z łatwością zaś mogącego spełniać wszelkie swoje zachcianki, bo w tych warunkach najlepiéj mogła się rozwinąć i okazać owa „choroba woli", która jest wybitną cechą jego charakteru, a którą by niezawodnie osłabiło, jeśli nie uleczyło zupełnie, zdrowe tchnienie pracy, wyrzeczeń i walk życiowych.

Daléj należało zaznaczyć ogólno-ludzki charakter tego typu. Ani Manfred, ani hrabia Henryk nie należą do żadnéj narodowości; miejscem pierwszego z tych dramatów są „Alpy"; drugiego — „okopy św. Trójcy." Sienkiewicz nie mógł tak postąpić: forma powieści i wymagania realistyczne dzisiejszéj estetyki nie pozwalały mu zawiesić bohatera swego gdzieś między niebem a ziemią, a niektóre względy — głównie może konieczność zbliżenia go do Anielki, która jest czysto polskim typem niewieścim — kazały autorowi zrobić Płoszowskiego Polakiem. Aby jednak zaznaczyć kosmopolityczny charakter typu swego, a zarazem usunąć z niego możliwie to wszystko, coby nosiło cechy miejscowe, Sienkiewicz osiedla ojca Płoszowskiego we Włoszech i daje Leonowi nawpół obce wychowanie. Spędziwszy połowę życia zagranicą, przerzucany z Rzymu do Paryża i tylko na krótko odwiedzając rodzinny kąt, nie mógł Leon wyrobić sobie tych uczuć względem niego, z których urosły np. dogmaty rzeźbiarza Łukomskiego [1]).

Są to tylko akcesorya niezbędne jak wspomniałem dla doprowadzenia zasadniczych rysów bohatera do największego wykończenia: tak rzeźbiarz pragnący uwydatnić siłę muskularną atlety, nie da mu postawy spokojnéj, lecz przedstawi go wyprężającym wszystkie swe siły. Ale każda z tych okoliczności pozostawia po sobie pewien ślad w charakterze, pewien rys, który w stosunku do typu jest przypadkowym, a dodaje mu życia jako osobnikowi poetyckiemu. Jest tu i rozpieszczenie człowieka, któremu często kadzono dzięki przypadkowemu stanowisku, jakie zajmuje w towarzystwie; jest próżniactwo sybaryty

---

[1]) P. Wł. Bogusławski w swoim wzorowym rozbiorze „Bez dogmatu" („Gaz. Polska" 1890 r. №№ 262—266), zaprzeczając aby Płoszowski był typem międzynarodowym, opiera sąd swój między innemi dowodami na charakterze jego miłości, tak odmiennéj od miłostek np. opisywanych w powieściach francuskich. Nie należy jednak zapominać, że tę formę przybiera miłość Płoszowskiego dopiéro stopniowo pod wpływem Anielki, która jest prawdziwie polską niewiastą. Pierwsze przystąpienie do niéj Płoszowskiego przeciwnie nosi cechy przyzwyczajeń nabytych na arenie międzynarodowego flirtu: widzimy tu zachwyty wobec „puszku" na policzkach, wyrażenia takie, jak np. „wygląda tak (Anielka), że chciałoby się ją schrustać i t. p., a nawet ubolewanie nad tém, że nie ma balzakowskich latek.

Niezawodnie, że Płoszowski musiał miéć w sobie pewne osobliwości czysto narodowe, pewne cechy przyrodzone, których nie zdołało zatrzéć kosmopolityczne wychowanie. Ale przynajmniéj z przekonań jeśli nie z uczuć można go nazwać człowiekiem bez ojczyzny, również jak i bez dogmatów. Zdaje mi się, że z tém twierdzeniem w zgodzie zostają następujące słowa krytyka: „Płoszowski rozwinął się w atmosferze egzotycznéj duchowo; świat jego, świat idei, pojęć, poglądów, nie naznaczył go charakterystyką odmiennych obyczajów i stosunków." („Gaz. Polska" № 263, str. 1). Sam Płoszowski nazywa siebie „duchowém dzieckiem zagranicy."

duchowego, którego nic nie napędza do pracy; jest zdenerwowanie, wynikające ze zbyt swobodnego użycia rozkoszy, do których przystęp ułatwiało bogactwo, wychowanie i otoczenie i ten sceptycyzm, jaki często spotykamy wśród ludzi zamożnych, którzy uogólniając pośpiesznie ograniczone doświadczenie swoje, wyobrażają sobie, że wszystko potrafią kupić jeśli nie pieniędzmi to łaską swoją [1]); jest i trochę arogancyi, i zuchwalstwa pochodzącego z bezkarności; są histeryczne kaprysy i niedorzecznie drażliwa miłość własna, która staje się jedném ze źródeł jego nieszczęścia — i co najdziwniejsza, że okazuje ją wtedy właśnie, kiedy tak upadł moralnie i zawinił względem Anielki przez stosunek swój z Laurą, — jest i nałogowa kokieterya (np. w stosunku do Chwastowskiego), i wygórowana próżność salonowa, objawiająca się w skwapliwém notowaniu wszystkich swoich drobnych tryumfów: czy to idzie o przewagę w pewności nad Laurą, czy o komplement Klary, czy o zwycięstwo dyalektyczne nad Stawowskim lub o skaptowanie młodego Chwastowskiego, a nadewszystko jest bardzo dużo egoizmu.

Najbardziéj wybitnym rysem umysłu Płoszowskiego jest pesymizm — cecha wspólna z Manfredem i hr. Henrykiem. Ale jakże odmienne tu są źródła i objawy tego usposobienia! Manfredowi wszystkie zabiegi i usiłowania ludzkie wydają się zbyt drobnemi, ażeby warto było dla nich żyć. Jak olbrzym na karłów, spogląda na mrowisko ludzkie, lituje się nad małością jego celów, pragnie dla siebie jakichś olbrzymich, których znaléźć nie może i dlatego czuje w duszy pustkę. Takież nienasycone pragnienia, takaż wygórowana ambicya, wywołuje ów straszny okrzyk z piersi Henryka, kiedy po stoczonéj walce uledz musi przemocy:

— „Człowiekiem być nie warto, aniołem być nie warto; trzeba być Bogiem, albo niczém!"

Tylko że tu nie brak celów, ale niemoc w ich osiąganiu wywołuje ten krzyk bolesny. W każdym razie u obu pesymizm jest owocem ich życiowéj tragedyi. Raz przekonawszy się o marności świata, nie wyciągają już dłoni po jego rozkosze.

Inaczéj u Płoszowskiego; nie sięga on tak wysoko, ani téż pesymizm jego nie płynie z tak głębokich źródeł. Przyczyną jego pesymizmu są pewne poglądy abstrakcyjne, które w gruncie rzeczy tak blisko go nie obchodzą. Dlatego téż usposobienie to ma u niego charakter przeważnie rozumowy, nie uczuciowy. Nie wpływa ono bezpo-

[1]) Przypomnę np. te słowa: „wypchałem mu (doktorowi) kieszenie tak, że włożył kapelusz dopiero za bramą."

średnio na czyny jego, chociaż stanowi ogólne tło życia, które niemniéj rzuca swoje posępne barwy na wszystko, co się w niém roztacza. To też bardzo trafnie charakteryzuje go sam Płoszowski, gdy mówi, że nosi swój dramat pod koszulą. Pesymizm tu nie jest wynikiem życia, lecz je poprzedza; nikły „jąk dym hawańskich cygar", przesłania on jednak Płoszowskiemu świat, ale nie przeszkadza mu, ażeby natychmiast po pesymistycznéj przegrywce wyciągał rękę po jego przyjemnostki. Jako dekadent współczesny umié on łączyć pesymizm w poglądach ogólnych z epikurejską gonitwą za rozkoszami *in concreto*. Źródłem tego pesymizmu jest niewiara spowodowana przez filozofię, którą wyznaje Płoszowski. Rozpatrzmy ją nieco bliżéj.

Nie wierzy on przedewszystkiém w samą tę filozofię, a więc wogóle w rozum ludzki, w jego zdolność osiągnięcia prawdy, wyrzeka na nią, że zburzyła jego naiwne wierzenia, nie dając mu w zamian nic trwałego i pewnego. W téj filozofii, która na wszystko odpowiada „nie wiem", która „przyznaje, że jéj w dawném ogólném znaczeniu nie ma — i że istnieje tylko jako filozofia poszczególnych gałęzi wiedzy", a biorąc zwłaszcza na uwagę wiek Płoszowskiego— łatwo poznajemy pozytywizm, z silném zresztą sceptyczném zabarwieniem. Ale pozytywizm filozoficzny mówił: „nie powinieneś zajmować się dociekaniami rzeczy nieprzystępnych rozumowi", przyczém domyślnie uzupełniał ten zakaz nakazem: „a siły, którebyś na nie zmarnował, użyj na zagadnienia i potrzeby życiowe." Płoszowski z pierwszego twierdzenia przyjął tylko zaprzeczenie, tylko owo „nie wiem", którém odpowiada pozytywista na zagadnienia niedostępne doświadczeniu. Nie zajmować się temi zagadnieniami nie mógł i to dla dwóch przyczyn: najprzód dlatego, że zajęcie się niemi leży w naturze ludzkiéj; powtóre dlatego, że nie domyślał się tego drugiego nakazu, który dla człowieka zdrowego stanowił logiczną konsekwencyę pierwszego zaprzeczenia, a którego spełnienie przyczyniłoby się przynajmniéj do usunięcia na drugi plan owych nierozwiązalnych zagadnień. Płoszowski skarży się nieraz na pewną „nieudolność życiową", stanowiącą cechę jego charakteru; ta to właściwość, którą w swojém miejscu poddamy bliższemu rozbiorowi, jest główną przyczyną, że życie szerokie nie może porwać go w swój wir i kazać zapomnieć o zagadnieniach teoretycznych wśród walk i trudów czynu. Filozofia ta czyni go więc tylko nieszczęśliwym. „Nie masz, jak sama przyznajesz, dość siły odpowiedzieć na pytania pierwszéj dla mnie wagi — a miałaś jéj dość, by podkopać moją ufność w naukę, która mi na nią odpowiadała nietylko stanowczo, ale w sposób kojący i słodki... Metodą twoją, duszą twoją, istotą twoją, jest zwątpienie i krytyka... Wypaliłaś, jak ka-

mieniem piekielnym, we mnie wszystkie te nerwy ducha, któremi się wierzy bezkrytycznie i poprostu, tak, że dziś gdybym chciał wierzyć, to nie mam czém..., dziś jestem sceptykiem nawet względem ciebie, nawet względem własnego sceptycyzmu, i nie wiem, nie wiem, nie wiem! — i męczę się i szaleję w téj ciemności!..."

Również nie ma Płoszowski wiary w społeczeństwo i jego przyszłość. Ta wyrafinowana cywilizacya, która tak mile oddziaływa na jego nerw estetyczny, sprawia na nim wrażenie sewrskiéj porcelany; czuje on jéj kruchość. „Czy myślisz, mówi do Śniatyńskiego, że ci wytworni dyletanci życiowi nie muszą przegrać w walce o byt z ludźmi, mającymi tęgie nerwy, grube muskuły i grubą skórę?" Tak jak i hr. Henryk, tém bardziéj, że jest mniéj od niego poetą a więcéj pseudoestetykiem, kocha Płoszowski ten świat, przeznaczony według jego przekonania na zagładę, jedyny, dla którego „warto żyć." „Oczywiście, że wyroby sewrskie prędzéj czy późniéj się potłuką, a z gliny przyszłość ulepi, co jéj się podoba."

Sam on nie czuje powołania do tego, aby w czémkolwiek przyłożyć się do owego lepienia przyszłości, aby na miejsce „co jéj się podoba" rzucić swoje „chcę!" I tu mu stoi na przeszkodzie owa nieudolność życiowa. „Nie czuje się na siłach być reformatorem nawet samego siebie." Wreszcie co go to może obchodzić? — „W rzeczywistości istnieją tylko indywidua, gatunek zaś jest pojęciem ogólném i w stosunku do jednostki najzupełniejszą nirwaną. Rozumiem miłość do swego syna, wnuka, prawnuka, to jest właśnie do jednostek, przeznaczonych na zagładę, ale patryotyzm swego gatunku może miéć chyba albo bardzo nieszczery, albo bardzo głupi doktryner." Taki szczery wniosek robi Płoszowski z nieszczerych powikłań, któremi oplata swoje autor „Dyalogów filozoficznych" książki, któréj wpływ widocznie odbija się na wielu kartach dziennika naszego bohatera [1]).

---

[1]) Czytamy np. u Renana: „Religia jest dla ludzkości tém, czém instynkt macierzyński dla ptaka — ślepém poświęceniem siebie dla celów nieznanych, wytkniętych przez naturę; rzecz niedorzeczna w sobie, dobra dla celów przyrody, a więc prawdziwa a nadewszystko święta". („Dialogues" str. 32). „Złem jest powstawać przeciwko przyrodzie gdyśmy się przekonali, że nas oszukuje. Tak, zapewne że oszukuje, lecz poddajmy się jéj. Cel jéj jest dobry; chciejmy tego, czego ona chce" (str. 46). Rozumiem, że ktoś daje się złapać w pułapkę jeśli jéj nie widzi. Lecz nie ma istoty tak głupiéj, ażeby dała się namówić do pułapki dla samych pięknych oczu owego niezrozumiałego, a może i nieistniejącego celu nieznanéj nam pani, którą Renan nazywać raczy Przyrodą. To też wysnute przez Płoszowskiego konsekwencye są i logiczne i zupełnie ludzkie. Z równą konsekwencyą zawoła późniéj: „Co mnie obchodzi układ społeczny, który wyciska krew ze mnie?" Ale na to już można mu odpowiedzieć: „Dlaczegożeś nie pomyślał o lepszym układzie, lepszym dla ciebie i dla innych?

Nie jest jednak Płoszowski pozbawiony pewnych sympatyi do kół szerszych: „Lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć łatwiéj." „... Lubię ich tak, jak lubię dzieła sztuki, piękną naturę i piękne kobiety."

Lubi on tę warstwę, z którą czuje się blizkim, z którą wspólnie odbywa „miły spacer" przez życie, jak się wyraża jeden z jego mistrzów w filozofii życiowéj, „prześnić jego sen", „smakować gorycze i słodycze", jak mówi drugi [1]).

Ale Płoszowski należy do pokolenia, które niegdyś, w młodzieńczym wieku marzyło o pracy dla ludu i wierzyło w ten lud. Trudno wprawdzie zrozumieć, gdzie się przejął on temi ideami, bo ani ksiądz Calvi, ani Jezuici w Metz zapewne ich nie wygłaszali. Również nie mógł wyczytać o tém w swoich ulubionych książkach: Renanach, Bourgetach i t. p. Chyba że coś słyszał w czasach koleżeństwa ze Śniatyńskim. Bądź co bądź stracił on i tę wiarę.

Lud, ten „ideał, przed którym nawet bardzo zuchwali sceptycy czapki zdejmują", nie pociąga go ku sobie. Jest to dla niego „absolutne barbarzyństwo i ciemnota", Owidiuszowa *rudis indigestaque moles*, z któréj przyszłość ulepi co jéj się podoba. Już „na cokóle posągu zaczynają różni psotnicy wypisywać mniéj więcéj cyniczne koncepta... Przyjdzie w końcu jakiś genialny sceptyk, jaki drugi Heine, oplwa i spoliczkuje tego bożka — jak to w swoim czasie uczynił Arystofanes, — ale oplwa go nie w imię żadnych starych ideałów, tylko w imię wolności myśli, w imię wolności wątpienia — i co wówczas nastąpi — nie wiem. Prawdopodobnie na téj ogromnéj pustéj karcie dyabeł będzie pisał sonety" [2]). To też jego filozofia dziejowa prowadzi do najsmutniejszego z wniosków: „oto dziad mój był szczęśliwszy od mego ojca, mój ojciec odemnie, a mój syn, jeśli go będę miał, będzie wprost litości godną figurą."

Ta rażąca sprzeczność pomiędzy „wykwitem a może i przekwitem kultury" z jednéj strony, a „ciemnotą i barbarzyństwem" z drugiéj, odsłania mu grozę przyszłości, a przewidywania jéj nie należą do takich, któreby mogły osłabić pesymizm. „Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne

---

[1]) Renan i Bourget.

[2]) Pisząc te wiersze Płoszowski, może był pod wrażeniem następującego ustępu z Bourget'a: „Nie potrzeba wielkiéj bystrości analizy, ażeby odkryć, że głosowanie powszechne jest najprędzéj nieprzyjazne ludziom wyższym." (*Essai de psychologie contemporaine*. T. I, str. 102) lub następujące słowa włożone przez Renana w usta Kalibana: „Wojna książkom! Są to najwięksi wrogowie ludu. Ci, którzy je posiadają, mają władzę nad swoimi bliźnimi."

mrówczéj pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów, namiętności, codziennych wysileń — życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy i przewala się jak morze — a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich. My, nie wiedząc o tém, mamy zamiłowania, nerwy i dusze, dobre na święto [1]). Widzi on, że „do tego oderwanego świata należą mniéj lub więcéj wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka.“ I oto budzi się w nim „pół jasne poczucie jakiegoś ogromnego niebezpieczeństwa, które grozi całéj kulturze“ [2]).

Również niepocieszające, jak filozoficzne i społeczne *credo*, są poglądy Płoszowskiego na rzeczy, dotyczące osobistego życia i szczęścia. Szczęście to jedyna rzecz, po którą Płoszowski gotów w każdéj chwili wyciągnąć rękę, jak dziecko po łakocie; a jednak nie wierzy w nie. „W życiu, powiada on, szukamy instynktownie świątecznych stron, rozkoszy i szczęścia—a nie wierzymy także i w szczęście.“

Dla człowieka, który w sposób tak uroczysty wyparł się „patryotyzmu swego gatunku“ t. j. miłości ludzi, nie może być źródłem szczęścia dążenie do jakichś wyższych celów, do ideałów, sięgających po za osobiste uczucia i aspiracye. „Ze wszystkiego, z czego składa się życie, pozostała nam naprawdę tylko kobieta“, mówi Płoszowski o gromadce ludzi, do których należy.

---

[1]) Jakże przypominają te „*Causeries romaines*“—tak nazywa Płoszowski owe pogawędki — „*La tour d'ivoir*“ St. Beuve'a, w któréj się zamyka literatura oderwana od szerokiego życia, oraz odpowiedni ustęp z poematu Lukrecyusza:

Suave mari magno turbantibus aequora ventis
E terra magnum alterius spectare laborem.

[2]) Porównajmy z tém następujący ustęp z listu Krasińskiego do Gaszyńskiego, pisanego w tym samym prawie czasie co i „Nieboska komedya“ (Rzym, 1834): „Cywilizacya nasza ma się ku śmierci; wiem że bliskie są czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą karać stare i same się potępią w obliczu Boga, ale wiem także, że one nic nie utworzą, nie zbudują, przejdą jak koń Atylli... Dopiéro to czego ani ja, ani ty, ani nikt nie zna, nie pojmuje, wzniesie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiéj, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje. Ale wtedy i moje i twoje kości prochem gdzieś będą.“ Ta jednakowość nastroju poety, z którego wypłynęła postać hr. Henryka, a myśli włożonych przez Sienkiewicza w usta swego bohatera — owo poczucie kruchości lub blizkiego upadku cywilizacyi, a niewiara w to, co ją zastąpić może, najlepiéj świadczą na korzyść słuszności zbliżenia i interpretacyi owych dwóch postaci, tak jednak niepodobnych do siebie, jak czasy i pokolenia, które je wydały.

Nie jest to jeszcze tak mało, jak się Płoszowskiemu wydaje. Stosunek do kobiety, forma, w któréj się objawia miłość, jest probierzem a po części i źródłem wysokości ogólnego nastroju ducha danéj epoki lub danéj warstwy społecznéj. Jak z jednéj strony pogląd na miłość i kobietę służy za miarę idealizmu danego społeczeństwa, a położenie jéj za miarę prawdziwéj jego cywilizacyi, tak z drugiéj znowu jedno i drugie wpływa na charakter uczucia, które już przez samą swą uniwersalność, siłę i skłonność naturalną do idealizacyi, służy za szkołę dla innych. „Miłość nie daje rad bohaterowi, powiada Szyller [1]), nie wychodzi z nim w bój, nie pomaga mu w jego czynach; lecz może ona wychować człowieka na bohatera, powołać do wielkich dzieł, dać mu siły do walki za ludzkość, słowem uczynić człowieka tém, czém być powinien.“ Ale miłość taka może istnieć tylko tam, gdzie jest cześć dla kobiety.

Inne wszelako są zapatrywania w tym względzie Płoszowskiego. Jego stosunek do kobiet — to przedewszystkiém pogląd „lisa na gołębnik.“ Te, wśród których spędził młodość, t. j. panie z arystokratycznego i finansowego świata francuskiego, charakteryzuje następującemi słowy: „Są one subtelne, wyrobione nerwowo, szukające wrażeń, chciwe użycia, a pozbawione naprawdę wszelkich ideałów. Bywają téż częstokroć równie zepsute, jak romanse, które czytają, bo moralność ich nie ma ani gruntu religijnego, ani tradycyi obowiązującéj.“ Są to pierwowzory typów, które spotykamy w powieści francuskiéj spółczesnéj; okoliczność ta ważna, bo temu otoczeniu, w którém skutkiem warunków wyjątkowych znalazł się Płoszowski, nadaje znaczenie pierwiastka powszechniejszego w wychowaniu moralném naszego inteligentnego pokolenia. Jeśli bowiem Sienkiewicz, któremu szło o spotęgowanie wpływów, zdolnych wytworzyć typ „człowieka bez dogmatu“, uważał za właściwe przeprowadzić bohatera swego przez tę szkołę zepsucia w życiu, to nie ulega wątpliwości, że chociaż w słabszym stopniu, ale w tym samym kierunku oddziaływa czytanie odpowiedniéj literatury powieściowéj, która bądź w oryginale, bądź w licych przekładach, dostarczanych skwapliwie przez niektóre firmy, stanowi pokarm duchowy pewnych warstw naszego społeczeństwa.

Książka zajmuje ogromne miejsce w naszém wychowaniu nietylko intelektualném, ale i moralném; to co czyta się w wieku, kiedy umysł jest najbardziéj wrażliwy na dobre i złe, nie może pozostać bez wpływu na ideały i przekonania pokolenia, które głównie pod wpływem książek wyrabia swoje. Najgorszą zaś z deprawacyi jest ta

[1]) Ueber das Pathetische.

która, rzucając potwarz na kobietę, lub ją demoralizując, zatruwa najobfitsze, najpowszechniejsze źródło lepszych i wyższych uczuć, jakiém jest czysta, pełna czci miłość dla kobiety. Na tle tego uczucia z łatwością rozwinąć się może zarówno inna szersza miłość, jak i cały szereg cnót heroicznych i wzniosłych. Wszystko będzie zależało od poziomu moralnego kobiety i od stopnia szacunku, jakiego używa w daném społeczeństwie. Poniżenie jednego i drugiego, czy to drogą rozszerzania w książkach na wszystkie kobiety spostrzeżeń, zrobionych przez autorów wśród najgorszych z nich, czy to przez rzucenie młodzieńca w koło tych najgorszych, będzie miało za skutek maksymę praktyczną, tak sformułowaną: „w imię czego i dla kogo mam być lepszym od innych?"

W zachowaniu się Płoszowskiego względem kobiet nie ma nic ani etycznéj czci rycerza, ani czystych estetycznych uczuć poety, ale sama tylko pożądliwość pseudoestetyka. „Gdy widzę jakąś kobietę po raz pierwszy, spoglądam na nią, z mocy dawnych przyzwyczajeń, jak na przyszłą możliwą zdobycz, ale są to raczéj odruchy umysłowe"— tak pisze on wtedy, gdy już Anielka o tyle opanowała całą jego istotę że nie może zajmować się innemi; porównywa sam siebie do jubilera wycofanego z interesu: „Ujrzawszy jakiś cenny klejnot, powiadam sobie: warto się o niego postarać, następnie przypominam sobie, żem się już zlikwidował — i idę daléj." Jakiegoż to jednak zepsucia wewnętrznego, jakiego nałogu flirtowego potrzeba, ażeby podobne zapatrywanie jak na zdobycz stało się aż odruchem, ażeby w kobiecie nie przemawiało do niego nic jako do człowieka, tylko jak do mężczyzny! Płoszowski jest tak dalece zepsuty pod tym względem, że przenosi swoje usposobienie na ogół mężczyzn, uważając je za naturalny niemal stan rzeczy: „My mężczyźni, jesteśmy tak przyzwyczajeni do dybania zawsze i wszędzie na kobietę, że do młodéj i przystojnéj żaden z nas nie zbliża się nigdy bez ubocznéj myśli."

Ta zupełna niewiara we wszystko czém może zapełnić życie człowiek o nieco szerszym widnokręgu, o wyższych aspiracyach, wystarcza taż zanadto do wytłumaczenia pesymistycznego usposobienia Płoszowskiego. Skarży się on téż nieraz, że „nie ma celu w życiu."

Ale jeśli nic go nie pociąga do czynnego życia, a ma przytém umysł wrażliwy, skłonny do zastanowienia i kontemplacyi, czy nie mogły by mu zapełnić istnienia te dwie dziedziny, w których tyle umysłów wyższych znajduje spokój i ukojenie, a nawet szczęście: sztuka i wiedza?

Płoszowski ma siebie za estetyka, często wspomina o swoich estetycznie wyrobionych nerwach. Sprobujemy więc przedewszystkiém

odpowiedzieć na pytanie jakie miejsce zajmują w życiu jego sztuka i piękno?

Nie ma chyba człowieka, który by był zupełnie niewrażliwy na piękno, jakakolwiek będzie różnica w jego pojmowaniu, i na tém właśnie polega ogólny wszechludzki i cywilizacyjny wpływ sztuki. Nie do wszystkich jednak okazujących w ten lub inny sposób tę wrażliwość z równém prawem stosować możemy nazwę natur estetycznych; wiadomo wszystkim, że melomani często najmniéj rozumieją i odczuwają muzykę; a wśród turystów, którzy robią ogromne wycieczki w celu niby zadość uczynienia potrzebie oglądania piękna w naturze, wielu musi wyczytywać z Bedeckera wskazówki, kierujące ich zachwytami. Wśród masy ludzi, których ogół miesza razem pod wspólną nazwą estetyków, jest bardzo niewiele natur prawdziwie estetycznych, ludzi głębiéj odczuwających piękno jako objaw ideału, jako zmysłową szatę pewnéj szczytności ducha. Tacy to k o c h a j ą piękno; sztuka dla nich stanowi istotną i prawdziwą potrzebę; nie mogą się bez niéj obejść, a chociaż nie są twórcami w jéj zakresie, zasługują jednak na miano natur poetycznych; ich twórczość objawia się w życiu potocznem, niekiedy na polu dziejowém, a w czynach ich przewodnikiem są te ideały, których szatą jest piękno w sztuce. Ale takie natury wtedy tylko mogą zapełnić całe życie sztuką, gdy są w niéj twórcami lub przynajmniéj pracownikami; gdy służąc jéj z powołania, służą zarazem ludzkości. W przeciwnym wypadku nurzają się tylko chwilowo w stygijskie fale piękna, aby wyszedłszy z nich z nowym hartem, iść w walki i trudy życia, aby wspomnieniem idealnéj dziedziny bronić się od poziomych i degradujących napływów a światłem ich rozjaśniać drogi czynu. Wszelki dyletantyzm nienawistny jest tym ludziom czynnym. Większość przeciwnie „lubi" sztukę jak cienką bieliznę lub delikatną potrawę; rozkoszowanie się w niéj jest dla nich rodzajem sybarytyzmu duchowego, rodzajem przysmaku, osładzającego długie godziny nieczynności, którego jednak prowdopodobnie łatwiéj się wyrzekną niż materyalnych wygód życia. Są to „pseudoestetycy", a „imię ich legion" jak mówi Płoszowski—bo i on do tego legionu należy. Sztuka tak pojęta i tak traktowana wywiera skutek wprost przeciwny temu, który stanowi jéj prawdziwe przeznaczenie: nie jak stygijska kąpiel hartująca serca, lecz jako jedna z przypraw do owéj osłabiającéj ducha i ciało uczty epikurejskiéj, w którą usiłują zamienić życie pokolenia schyłkowe [1]).

---

[1]) W tym względzie grzeszy może brakiem prawdy poetyckiéj ten wiersz naszéj mistrzyni słowa:

Dla Płoszowskiego dzieło sztuki stoi prawie na równi z sewrskim wyrobem, zdobiącym jego biurko. „Czy odczuwam sztukę? zapytuje siebie,—tak, czy potrzebuję jéj?—także tak! Ale oni (t. j. ojciec Leona i jego nauczyciel, ksiądz Calvi) ją kochali, ja zaś odczuwam ją, jak dyletant, potrzebuję zaś jéj, jako dopełnienia wszelkiego rodzaju przyjemnych i rozkosznych wrażeń życiowych"... „Nie mógłbym się może obejść bez niéj w życiu—ale całego życia bym jéj nie oddał." Zapewne w tém położeniu, w jakiém się znajduje Płoszowski, wydaje mu się również niemożliwém obejść się w życiu bez cienkiéj bielizny i bez powozu.

Nie trudno się przekonać, że istotnie w zachowaniu się Płoszowskiego wobec sztuki, w jego sądach o niéj pełno jest dyletantyzmu; a nawet nie mamy wystarczających danych, aby sądzić czy w rzeczywistości ojciec jego kochał sztukę tak, jak się zdawało Leonowi. Kapryśne zamiłowanie w starożytnościach, jak wogóle wszelkie bawienie się w zbiory, jest najczęściéj—zwłaszcza w starszym wieku—schronieniem umysłów, chciwych zajęcia, a pozbawionych twórczości lub odpowiedniego wykształcenia do pracy naukowéj oraz energii do życia czynnego; rzadko świadczą one o rzeczywistéj miłości i znajomości przedmiotu. Czytelnik, który, będąc obcym staremu Płoszowskiemu, nie ma powodu idealizować, jak to czyni syn jego, téj manii zbierania, nie podniesie jéj zapewne do godności czynu obywatelskiego. Przykład ojca więc nie mógł prawdopodobnie przyczynić się do rozwinięcia w nim miłości sztuki, ale wysoce wpływał na wyrobienie „smaku" t. j. pewnéj miary estetycznéj, która stosuje się zarówno do życia jak i do dzieł sztuki.

W większym jeszcze stopniu dyletanckiemi są poglądy filozoficzne i naukowe Płoszowskiego. Widzieliśmy już, badając źródła jego pesymizmu, że zapożyczał zdania od popularnych pisarzy, których poglądy na świat stanowią niekrytyczny zlepek krążących opinii, przesądów klasowych, upodobań osobistych, urywków wiedzy, często nie na

---

I wodząc miękką dłonią po etruskiéj wazie,
Uczył się jéj okrągłość zamykać w wyrazie,

bo to co stanowi prawdziwą piękność poezyi — nie retoryczną tylko deklamacyę, któréj zresztą pełno jest w poezyi rzymskiéj jak i w mowach Cycerona — to nie bywa owocem miękkiéj dłoni, ani płynie z wzorów etruskiéj wazy... Sybarytyzm ciała i ducha był zarówno wstrętny wielkim poetom i artystom, jak i innym wielkim duchom. Nie miękką musiała być ta dłoń, która wykuła Mojżesza; nie na otomanach wymarzył Cervantes swego Don Quichota; nie lubili się pieścić ani Byron, ani Mickiewicz, a wieluż to poetów i pisarzy poddawało się umyślnie surowéj regule w okresach twórczości.

miejscu zastosowanych, wszystko to przesiąknięte nawskroś duchem dogmatyzmu intelektualistycznego, wikłającego się jednak już w sprzecznościach i dla tego wewnątrz stoczonego nawskroś przez sceptycyzm, przez niewiarę w sam rozum. Czy kształtując swoję filozofią życiową pod wpływem téj literatury, stosując jéj wyniki do swojéj osoby, do swego otoczenia wykazał Leon jakąkolwiek oryginalność, lub przynajmniéj głębsze pojmowanie rzeczy?

„Odziedziczyłem zapewne po ojcu umysł syntetyczny, bo staram się zawsze uogólniać wszystkie zjawiska; z nauk zaś żadna nie pociąga mnie tak, jak filozofia. Ale za czasów mego ojca filozofia obejmowała taki sobie ni mniéj ni więcéj zakres, jak wszechświat i wszechbyt, wskutek tego miała gotową odpowiedź na wszelkie pytania." Płoszowski, który „nie ma się za fachowego filozofa, bo z fachu... jest niczém," który zajmował się tylko najnowszym ruchem filozoficznym, t. j. pewnemi książkami popularnemi, nie wié, zdaje się, że zakres filozofii jest ten sam i po dziś dzień, że był takim zawsze; a gdybyśmy, polegając na własném świadectwie Leona, uwierzyli w syntetyczność jego umysłu, to wiara ta upadła by całkowicie na widok zupełnéj jego niemocy wobec przeciwności, otwierających się przed nim w życiu, jak rozdwojenia drogi przed niezdecydowanym w wyborze wędrowcem. Własnością charakterystyczną umysłu syntetycznego jest łatwość kojarzenia i jednania sprzeczności, przez wznoszenie się na stanowisko wyższe; a więc zdolność dawania stanowczych odpowiedzi na dręczące pytania. U Płoszowskiego widzimy przeciwnie daleko posuniętą skłonność i zdolności analityczne, bez najmniejszéj władzy syntetycznéj. Rozkłada on i rozbiéra wszystko, nawet to co nie powinno być i nie może być rozłożoném. „Gdzie inni tylko kochają stawiałem znaki zapytania".

Nie miał więc Płoszowski tych własności umysłu, które robią człowieka filozofem i myślicielem, a jeszcze mniéj sprzyjał temu jego charakter i usposobienie, zbyt mało skłonne do cierpliwéj i drobnéj pracy, która wytwarza zwykłych „uczonych" z ludzi daleko mniejszych zdolności.

Ale te ustawiczne znaki zapytania, mnożące się za każdym jego krokiem na polu życia i myśli, na które umysł jego nie miał siły odpowiedzieć, stanowią źródło wahań i niepewności, przyczynę nieszczęść, zasadniczy symptomat „choroby woli", téj niemocy i nieudolności życiowéj, na którą się często skarży. „Skutek był taki, żem nie wyfilozofował nic, a wyjałowiłem w sobie serce."

Im głębiéj zapuszcza się w tę analizę, tém więcéj staje przed nim znaków zapytania, tém więcéj sprzeczności, z których wyjść nie umié, nasuwa mu życie a czy to będzie przeciwstawność barbarzyństwa

i „kruchéj" cywilizacyi, czy pokolenia chorych pseudoestetyków lub zdrowych rekinów na wzór Chwastowskiego, czy zagadnienie „okrucieństwa dziejów", czy też rozdwojenie pomiędzy wiedzą a uczuciem. Czasem buntuje się on jak dziecko przeciw swojéj logice, i wykrzykuje: „Na przyszłość obiecuję sobie być zawsze niekonsekwentnym, ilekroć będzie mi z tém lepiéj, dogodniéj, szczęśliwiéj",—ale nie ma dość siły charakteru, aby być konsekwentnym w téj niekonsekwencyi; lub też z całą naiwnością dogmatyka wiedzy polega na broszurze Bungego „o witalizmie," która zdaje mu się, jakoby dawała nadzieję naukowego uzasadnienia tego, w coby chciał wierzyć, a nie ma siły wierzyć na przekór wiedzy.

W braku więc zdolności syntetycznéj, czyli w braku twórczości— bo wszelkie pojednanie sprzeczności polega na „stworzeniu" syntezy— tkwi intelektualne źródło niemocy Płoszowskiego. Kto umié tylko stawiać pytania, nie potrafi nic zdziałać. I gdy nareszcie dzięki téj pytaniomanii wytwarza taki sztuczny dylemat: „ożenić się z Anielką— znaczy unieszczęśliwić ją; nieożenić się — również unieszczęśliwić" to zupełnie już słusznie powiada: „Oto koło błędne! tylko ludzie z gatunku Płoszowskich mogą wpaść w podobne" [1]).

Czy jednak tylko ludzie obdarzeni twórczością i zdolnością syntetyczną w stanie są znaleźć w życiu drogi? Iluż jest takich, co nie tylko oryginalnie, ale nawet wcale nie myślą, mimo to w postępowaniu obiérają dobrą lub złą drogę śmiało i bez wahania. Wprawdzie tacy najczęściéj nie analizują wcale. Miałżeby być słusznym często powtarzany przez Płoszowskiego aforyzm: „dziś tylko osły mają wolę"? Odpowiedzieć na to pytanie można będzie dopiéro po całkowitym rozbiorze umysłowości naszego bohatera. Tymczasem postępując daléj w téj analizie postawimy inne pytanie: o ile słuszném jest jego wyobrażenie o wyższości swojéj i na czém ona polega, jeśli istnieje rzeczywiście?

Niejednokrotnie daje do zrozumienia Płoszowski o swoich niezwykłych zdolnościach czy to mówiąc o szkolnych czasach, kiedy „powodzenia egzaminowe kazały zapomnieć o wycieczce do obozu don

---

[1]) Bardzo charakterystycznym przykładem, oświetlającym tę manię stwarzania nieistniejących przeciwności, jest także ustęp poniższy. Była silna burza. „Panie poczęły odmawiać litanię, ja zaś miałem chwilę wielkiego niesmaku, wydało mi się bowiem, że jeśli ją będę odmawiał razem z niemi, będzie to z mojéj strony hypokryzyą, jeśli nie, to będzie wyglądało na popis źle wychowanego mędrka, nie biorącego w rachubę zwykłego wiejskiego obyczaju i przedewszystkiém strachu kobiet."

Karlosa, czy o nadziejach jakie w nim pokładali ojciec i nauczyciel jego ks. Calvi. W sposób dość delikatny daje do zrozumienia o tém, że był wysoce ceniony za swoje zdolności w kołach, gdzie się obracał, będąc dorosłym mężczyzną; o nim ludzie tu i owdzie mówią, kręcąc głowami: „Gdyby się tylko do czegoś wziął;" ciotka nazywa go „jenialnym". Anielka w porywie naiwnego zachwytu, wywołanego jego gawędziarstwem woła: „Dlaczego Leon nie pisze?" a i sam on ma poczucie, „że mógłby być czémś nieskończenie większém, niż jest."

Jeśli usuniemy cały szereg powodów do złudzenia, a w ich liczbie była niezawodnie owa łatwość, z jaką przyznaje się patent na genialność osobom cokolwiek wyróżniającym się w ciasnych, zamkniętych kółkach ludzi bez zajęcia realnego, oceniających ową genialność z wrażeń osobistéj gawędy — bo w niczém inném ona się nie wykazuje—przyczém sędziami są zwykle ludzie nie mający pojęcia o rzeczywistéj mierze talentu, którego jedynym probierzem jest praca; jeśli daléj zostawimy na uboczu wpływy, o których tak subtelnie rozumuje Ad. Smith, a powodujące, „że łatwiéj przebaczamy wykroczenia książętom, ludziom bogatym i wielkim panom, zasługi zaś ich głośno wychwalamy",—to jeszcze wobec tylu świadectw nie usuniemy się od obowiązku dokładnego zbadania, czy należał Płoszowski do umysłów wyższych, a odpowiedź na to pytanie będzie już pewnym krokiem w drodze do postawionego: czy rozum i wyższość intelektualna mogą stać się źródłem niemocy woli?

Wyraz „człowiek zdolny", którym się tak często posługujemy dzięki któremu tylu osłów robi wielką karyerę, jest jednym z tych pięknych słówek, którym można nadawać tysiączne znaczenia. Słysząc pochwały dla czyichś niezwykłych zdolności bez wskazania ich przejawów, nieraz czułem wielką chęć zapytania: „Cóż za zdolność posiada owe indywidyum? czy dodawania w pamięci milionowych liczb? Napisania pięknéj książki lub poematu czyli prędkiego wzbogacenia się na operacyach giełdowych? Zdolność administrowania wielkim majątkiem, zdolność do kombinacyi politycznych czyli téż do zabawienia towarzystwa i przypodobania się paniom? — Nikt nie zaprzeczy że nie koniecznie wszystkie te rodzaje uzdolnień muszą być połączone w jednym osobniku, oraz, że nie wszystkie cenimy w jednakowym stopniu. Mówiąc więc o czyjéjś zdolności, powinniśmy przedewszystkiém wiedzieć do czego jest zdolność i w czém się objawiła? Płoszowski mówiąc o sobie, ma oczywiście na myśli zalety umysłowe; ale i tak ograniczone pojęcie zostaje jeszcze zbyt szerokiém i nieokreślonem. Za ludzi zdolnych w tém znaczeniu uchodzą w towarzystwie najczęściéj ci,

którzy łatwo przyswajają sobie cudze zdania, umieją zręcznie popisać się szczupłym zakresem erudycyi, a przedewszystkiém umieją nadać pozór oryginalności cudzym zdaniom, gdzieś w lot pochwyconym. Płoszowski sam przyznaje, że umysł jego posiada „pewną błyskotliwość", daje też nam próbki popisów cudzym rozumem [1]), a dyalektyczne zwycięstwa, które odnosi nad ludźmi może poważniejszymi i głębszymi (za jakiego przedstawiony jest np. Stawowski), tłumaczą się łatwo nawyknieniem do rozmowy salonowej, w któréj zbyt często interlokutorowie obchodzą się z sobą nawzajem jak lis z chartami, do czego Stawowski mógł nie być wcale przygotowanym [2]). Z tém wszystkiém musimy mu przyznać tę sprężystość umysłową, tę łatwość zoryentowania się w każdém położeniu lub przedmiocie, które nie koniecznie świadczą o głębokim umyśle, ale przynajmniéj są formalnym warunkiem produkcyjnéj pracy intelektualnéj.

Produkcyjność pracy, jak już wspominałem, jest jedynym pewnym probierzem zdolności; Płoszowski téj próby nie wytrzymuje. Nie wyklucza to jednak, że jak sam mówi „dane mu były łuk i strzały," tylko nie dana możność strzelania. Jakie czynniki wogóle złożyły się na tę jego „nieprodukcyjność," na to że został geniuszem bez teki, nad tém bliżéj się zastanowimy za chwilę.

Tymczasem zaznaczymy, że osobliwość ta znowu zbliża Płoszowskiego do Manfreda. Bohater Byrona również mówi o swych wielkich zdolnościach i przyrodzonych darach, zmarnowanych bezowocnie; ale i tu daje się odczuć takaż różnica jak między pesymizmem jego a beznadziejném usposobieniem przedstawiciela schyłkowego pokolenia. Manfred zmarnował swoje zdolności dla tego, że nie znalazł godnego celu dla ich zastosowania, zagłębiał się on „w tajemnicze nauki, badał

---

[1]) Do takich należą np. zapożyczone od Feuilleta *netteté du plumage* lub *improductivité slave* wzięte z ust jakiegoś dyplomaty.

[2]) Epizod, o którym mowa, jest następujący: Stawowski rozwodził się nad położeniem klas wyzyskiwanych; Płoszowski przerywa mu pytaniem: czy przyjmuje teoryą Darwina? i wykazuje mu niekonsekwencyę darwinisty broniącego słabych. O ile tu z jednéj strony wtrącenie argumentu o motywach pobudzających Stawowskiego do wstawiania się za słabymi i wyzyskiwanymi oraz wykazanie niekonsekwencyi jego w tych motywach („pan ze stanowiska walki o byt powinienbyś sobie powiedzieć: są słabi, są głupi, więc muszą iść na łup nie tych, to tych") jest wybiegiem sofistycznym — odwróceniem dyskusyi od przedmiotu na osobę—bo cóż mogą obchodzić kogo poglądy osobiste Stawowskiego w kwestyi walki o byt i Darwinizmu, skoro tylko miał słuszność w przedmiocie, o którym mówił—o tyleż znów Płoszowski miał by słuszność, gdyby przedmiotem dyskusyi nie było położenie owych klas, ale konsekwencya poglądu na świat Stawowskiego.

przyczyny śmierci w jéj skutkach," spędzał samotne dni i noce w wieży nad staremi księgami lub w pustyni, „przysłuchując się śpiewowi jesiennego wiatru i szelestowi opadłych liści; oddychał niedostępném powietrzem górskich szczytów, gdzie ptaki nie śmiały wić gniazd swoich, ani owady wzlatać; śledził w ciągu nocy bieg gwiazd i ruch księżyca, lub przyglądał się oślepiającym błyskawicom..." Samotność była szkołą jego wielkości a księgi dawnych mędrców lub wielka księga przyrody—źródłem jego wiedzy i jego natchnień...

Płoszowski nigdy nie oddalał się z pośród płytkiego trajkotu salonowo-towarzyskiego życia; nie widział innéj przyrody prócz ufryzowanéj i uperfumowanéj miejsc kąpielowych lub ulubionych przez turystów, gdzie każda niebezpieczna skała otoczona jest baryerką a każda nieprzystępna ścieżka ułatwiona wykutemi w niéj schodkami; nie czytał żadnych książek, których data wydania nie była by najświeższa, a z tych tylko popularne i „mające rozgłos," t. j. modne, a jeśli poruszał zagadnienia dotyczące początku i końca bytu, to nie z tragicznym uniesieniem badacza, wkładającego cząstkę życia w badane prawdy, ale z nawpół obojętném znudzeniem sybaryty, który przesycony słodkiemi wrażeniami, wonią perfum i lekkiém łechtaniem uczuciowości, rad na chwilę zanurza się dla urozmaicenia życia w cierpkie dziedziny umysłowości, aby pokręciwszy się w nich trochę i rzuciwszy na chybił trafił kilka mniéj lub więcéj szczęśliwych pytań, odwrócić się od niéj, nie doczekawszy się odpowiedzi i wycedzić z ziewnięciem apatycznem: „co to mnie obchodzi?"

Bądź co bądź, ani Manfred ani Płoszowski nie dokonali żadnych czynów, które by głośno i dla wszystkich jawnie poświadczyły wyższość ich ducha. Widzieliśmy jaka była przyczyna tego u Manfreda: nie mógł on znaleźć celu dość wielkiego dla swoich pragnień; wzbijając się na wyżyny, utracił z oczu mrowisko ludzkie a dla tego przeoczył i wielką ideę dziejową i spadł z tych wyżyn w otchłań beznadziei.

Inne jest źródło tego uczucia u Płoszowskiego. Oprócz oceny według czynów lub zamiarów, możliwa jest inna, oparta na wartości wewnętrznéj, niezależnéj od zewnętrznych jéj objawień. Poczucie wewnętrzne o swojéj wyższości może posiadać człowiek, który wiele zdziałał, może je miéć ten, który czuje się zdolnym do działania i lepszym od innych, chociaż okoliczności nie pozwoliły mu w żadnym czynie objawić swojéj wyższości. Ale w wieku schyłkowym spotykamy się z nową dziwną oceną, którą wygłasza np. Bourget w następującym ustępie:

„Jeśli obywatele epoki upadku są niżsi jako twórcy wielkości swego kraju, czy nie posiadają znakomitéj wyższości jako artyści wewnętrzni ducha? Jeśli są mało zdolni do czynności publicznych lub prywatnych, czy nie pochodzi to stąd, że są zanadto zdolni do samotnego myślenia? Jeśli niezdatni na ojców przyszłych pokoleń, czy nie dla tego że obfitość wrażeń delikatnych i wyszukiwanie rzadkich uczuć zrobiły z nich wirtuozów jałowych, lecz wyrafinowanych rozkoszy i cierpienia? Jeśli niezdolni są do poświęceń głębokiéj wiary, czy nie dla tego, że nadto wykształcona inteligencya uwolniła ich od przesądów i że obiegłszy wkoło wszystkie ideje, doszli do téj wyższéj sprawiedliwości, która uprawnia wszystkie doktryny, wykluczając wszelkie fanatyzmy? [1]) ... Wielkim argumentem przeciwko epokom dekadentyzmu jest ten, że nie mają one jutra i że zawsze zgniata je barbarzyństwo. Lecz nie jest-że to jakby fatalnym udziałem tego, co wyszukane i rzadkie, że nie ma racyi wobec brutalności?"

Znajdujemy tu istotnie całą psychologią i filozofią Płoszowskiego aż do téj myśli włącznie, „że wyroby sewrskie potłuką się wcześniéj czy późniéj." Tak téż nieraz Płoszowski tłumaczy sobie swoją wyższość, gdy np. mówi: „Jestem naturą bardzo złożoną", gdy szuka udzi „nerwowo wyrobionych" z którymi mu jest dobrze i t. d. Jednak istnieje głęboka różnica pomiędzy Płoszowskim a owym typem zawczasu przesyconego życiem sceptyka, jaki spotykamy w epoce upadku cywiliżacyi starożytnéj:

„Oto doszedł do pożądanego spoczynku, do téj błogiéj beznamiętności (*apathia*), stanowiącej cel i nagrodę mądrości. Nic go nie wzrusza, nic nie dziwi, nic nie zasmuca. Lecz krocząc od ostrożności ku nowéj ostrożności, ścieśniał coraz bardziéj koło swoich czynów, a teraz duszą go ciasne skręty jego doktryny. Złudzenie wchodzi do jego duszy, z któréj wygnał namiętność. Jednostajny obraz świata, wobec którego zachowuje się jako widz nieczynny, nuży go i doprowadza do rozpaczy. Wyda on z Lukrecyuszem ów powtarzany okrzyk zniechęcenia: „wiecznie, wiecznie to samo! *Eadem sunt omnia semper*...

---

[1]) Porównajmy to miejsce z pochwałami Płoszowskiego dla Paryża, gdzie „pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju ideje ogólno-ludzkie" „krążą w powietrzu i wsiąkają w głowy ludzkie." Tu „umysł traci jednostronność, staje się wyrozumiały i ucywilizowany..." bo téż gdzieindziéj spotyka „głowy nawet bardzo mocne, ale tak nie chcące dopuścić, by mogło coś istnieć po za promieniem ich światła, tak wyłączne i tak barbarzyńskie, że dla ludzi, którzy chcieli zachować swój własny sposób widzenia rzeczy, stosunek z nimi był wprost niemożliwy."

Eadem omnia restant!" Z większą jeszcze niecierpliwością oczekując kresu swojéj zbyt spokojnéj nędzy, zawoła z Seneką „Dokąd to trwać będzie?—*Quousque eadem?*" Jedyna przewaga, którą sobie zapewnił jest brak obawy śmierci; bo tak stopniowo skierował ku niéj swoje życie, że bez wstrząśnienia przejdzie z jednéj nicości w drugą." [1])

Płoszowski nie jest wyłącznym „artystą ducha", nie jest tylko kontemplacyjnym leniwcem z odcieniem filisterskim, który z obawy silnych wzruszeń starannie ruguje z duszy swojéj wszelkie namiętności. Jak i całe pokolenie schyłkowców współczesnych łączy on z temperamentem dekadentów rzymskich aspiracye współczesnego mieszczaństwa a zamiast stoickiéj obojętności pierwszych, posiada on epikurejską ruchliwość drugiego, pragnie on wzruszeń, ale nie ma siły ich głębszego odczucia; garnie się do życia i chciał by je w nieśmiertelność przedłużyć, ale nie ma w nie wiary. Jego imię n i e m o c, zkąd że więc płynie jego poczucie wyższości nawet nad takimi ludźmi pracy jak Śniatyński? Byłożby ono czystem złudzeniem? Nie; wyższość Płoszowskiego istnieje i polega w tém, że chociaż nie jest ani poetą ani filozofem bierze on świat i życie filozoficznie i estetycznie, co mu nie pozwala z jednéj strony zadowolnić się tą drobną, mrówczą pracą, w któréj się grzebią z takiém zamiłowaniem Śniatyńscy, i pomimo całego szacunku dla tych ludzi (ocena z punktu widzenia dobra ogółu) czuć się mimowoli większym od nich [2]), z drugiéj czyni ten marny pod względem charakteru typ, interesującym dla czytelnika, interesującym o tyle, że można go było wydźwignąć na bohatera powieści nie w stylu Zoli...

Jest on niedoszłym poetą, jak Manfred i hr. Henryk, niedoszłym filozofem jak Hamlet. Dla czego niedoszłym? Może nie tyle dla braku przyrodzonego uzdolnienia ile dla braku tego, bez czego żaden talent nie może się rozwinąć—dla braku pracy nad sobą. Płoszowski jest nawskroś dyletantem. Dylentantyzm ten świeci przez wszystkie popsute lub nieściągnięte szwy jego sukienki filozoficznéj, w czém się nie różni zresztą od pokolenia, wśród którego wyrósł; dyletantyzm wygląda z jego sądów o sztuce, w których jednak dodatnio wyróżnia się od swego pokolenia tym wrodzonym i wpojonym przez wychowanie smakiem, co nie pozwala mu iść za modą dziwacznych szkół i doktryn estetycznych.

---

[1]) Constant Martha. *Le Poëme de Lucrèce*, str. 334.

[2]) „Nie po raz pierwszy przychodzi mi zadać sobie pytanie, czy Śniatyński jest głupszy, czy też mądrzejszy ode mnie?"

Gdyby nie ta cecha, gdyby nie ta jego szczerość w filozoficznem i estetycznem pojmowaniu życia, nie różnił by się niczém Płoszowski od przeciętnéj jednostki inteligentnéj, płynącéj za falą, udającéj wiarę tam, gdzie to popłaca, sceptycyzm — gdzie się tém popisać można, w gruncie zaś obojętnéj na wszystko, w nic nie wierzącéj, do niczego nie dążącéj, zamkniętéj w ciasném kole egoizmu osobnikowego lub rodzinnego, nie śmiącéj przekroczyć przepisów ogólnie przyjętych przez obawę opinii, nawet wtedy, gdy osobiste instynkta popychają ku temu, a jednostajność życia urozmaicającéj kuflem piwa lub partyą szachów, rowerem lub gorączką pieniężną.

Przeciwnie, gdyby Płoszowski miał rzeczywisty geniusz, lub gdyby nie zadawalniając się dyletantyzmem (do przezwyciężenia którego przeszkadzał mu brak woli), pracą i wytrwałością był rozwinął te tkwiące gdzieś w głębi jego ducha zawiązki talentu, — nie byłby Płoszowskim. Zostałby Sienkiewiczem lub Feuerbachem, Byronem lub Schopenhauerem [1]). Albo siła twórcza przełamałaby trudności formy i wylała się w potoku poezyi; albo myśl syntetyczna zwyciężyłaby żrącą analizę półwiedzy i stworzyłaby systemat filozoficzny. Nie stać na to Płoszowskiego i rozdwojenie spowodowane sprzecznością pomiędzy naturalném poczuciem piękna i pragnieniem harmonii, a owym sklejonym z ochłapów wiedzy poglądem na świat, zwiększa jeszcze niemoc duchową, w któréj i bez tego jest pogrążony.

Wspominaliśmy przed chwilą, że Płoszowski pragnąłby przedłużyć życie po za deską grobową; teraz, kończąc intelektualną charakterystykę jego, w któréj mimowoli zmuszeni byliśmy wtargnąć i w inne zakresy ducha, wypada nam jeszcze bliżéj rozpatrzéć wierzenia a raczéj niewiarę jego na tym punkcie.

„Ludzie połączeni w społeczeństwo, mówi Pytagoras według Jamblicha, mają rozmaite zajęcia. Jednych unosi nieprzezwyciężony pociąg ku przyjemnościom i bogactwu; innych opanowywa ambicya władzy i zaszczytów; lecz najwyższym celem człowieka, któremu oddając się, zasługuje na nazwę filozofa, jest kontemplacya piękności świata.“ Płoszowski w swoich aspiracyach do filozoficznego pojmowania świata, jest jednocześnie i niższy i wyższy od tego greckiego ideału bezinteresownéj kontemplacyi. Niższy o tyle, że aspiracye te rozbijają się u niego o pierwszą napotkaną przeszkodę; że nietylko życia całego, ale nawet cokolwiek wytrwałéj pracy, która byłaby wy-

---

[1]) Płoszowski wykazuje świadomość tego, mówiąc: „Tacy ludzie jak ja, nie stanowią tylko wtedy minusów, jeśli nie należą do kategoryi geniuszów bez teki, t. j. jeśli są wielkimi uczonymi lub wielkimi artystami.“

dźwignęła go z téj toni zwątpień, poświęcić im nie potrafił; niższym wreszcie dlatego, że nigdy nie zapomina o swojém „ja", że to maleńkie „ja" gotów jest wtrącić do najwspanialszych i największych zjawisk przyrody, że nigdy nie jest widzem zupełnie obiektywnym. Wyższym— o tyle, że nie mając dość siły ducha, aby zostać filozofem, nie zadawalnia się rolą nieczynnego dyletanta widza, na wzór tego typu „wyższego człowieka" lub „obywatela upadku", o którym była mowa przed chwilą. Jest wszechstronnym, jest „człowiekiem" a interesa życiowe, chociaż nie mogą wprawić w energiczniejszy ruch popsutych sprężyn jego machiny duchowéj, nie przestają go zajmować i pociągać ku sobie. To téż i w filozofowaniach swoich o rzeczach nadzmysłowych nie jest on czystym teoretykiem, a gdy rozprawia o nich, można doń zastosować i to z większą słusznością parafrazę jego własnych słów, zwróconych w myśli do rzeźbiarza Łukomskiego: Więc taki to z ciebie filozof?

„Bywają epoki, że obojętnieję na podobne pytania, czasem jednak targają mnie one bez miłosierdzia — témbardziéj, że to są rzeczy, które się w sobie zamyka. Byłoby może lepiéj o nich nie myśléć, ale zbyt są na to ważne. Bo ostatecznie człowiek chce wiedzieć, co go oczekuje i jak ma życie urządzić." Tu się właśnie odezwał głos z parafialnéj kruchty: filozof znikł wobec wyrachowanego mieszczucha, który zadaje sobie pytania: czy naprawdę mam się bać piekła? czy opłaci się być cnotliwym w życiu?

Dziwne losy w dziejach ludzkości przechodziło owo straszne, wobec wszystkich pokoleń otworem stojące, jak czarna niezgłębiona jaskinia pytanie — co będzie po śmierci? W starożytności strach śmierci usiłowano zażegnać dowodzeniem, że nic nie będzie; człowieka zaś współczesnego najwięcéj przeraża właśnie obawa owéj nicości.

Lukrecyusz, który wślad idąc za mistrzem swoim Epikurem, za główne zadanie filozofii postawił przezwyciężenie „strachu Acherona, zakłócającego do głębi życie ludzkie" [1]), poświęcił mu całą trzecią księgę poematu swego. I w jakiż sposób spełnia to zadanie?

„Czytałem i odczytywałem trzeci śpiew Lukrecyusza", pisze Fryderyk II-gi w krytycznéj chwili podczas wojny siedmioletniéj, „znalazłem w niéj tylko konieczność złego i bezużyteczność lekarstwa." — Takie wrażenie robi na umysłach współczesnych owa filozofia nicości, nicości, w któréj, jak powiada historyk jego [2]) „rozmiłowany jest Lu-

---

[1]) „Et metus ille foras praeceps Acherontis agendus
Funditus, humanam qui vitam turbat ab imo." De natura rerum III, 39.

[2]) Martha, l. c. str. 170.

krecyusz, tak jak inni mogą kochać nieśmiertelność." I nie sam tylko Lukrecyusz.

„Filozofowie owego czasu wykazują ustawicznie zdziwienie z powodu trudności przekonania ludzi, że śmierć, zupełne zniszczenie, nie jest złem. Zdziwienie to świadczy o oporze jaki spotykali. Pliniusz, którego świadectwo nie jest podejrzane, gdyż sam był epikurejczykiem, mówi o tym oporze w wyrazach pełnych ironii: „nasza śmiertelność chciwa jest wiecznego życia — *avida nunquam desinere mortalitas.*" Jeszcze wyraźniéj zaznacza Seneka uczucia współczesnych: „Boją się zarówno dostać się do piekła, jak nie być nigdzie — *aeque timent ne apud inferos sint, quam ne usquam*" [1]).

Widzimy z tych cytat, że nawet i w owéj typowéj dobie dekadentyzmu nie wszyscy byli jednakowo obojętni na śmierć. Płoszowski, który nie był ani dość epikurejczykiem „aby wobec ślepéj konieczności postąpić jak marynarze zagrożeni burzą, gdy nie widząc możności walki z nią zamykają się w swoim okręcie, pozostawionym jak łupina na igraszkę fal, a oddają się śpiewom i winu, aby uniknąć jeśli nie głębiny, to przynajmniéj jéj strachu" [2]) — bo dusza jego jest zanadto pełna „gotyckich strzelistości"; ani téż nie posiadał rezygnacyi stoików, aby razem z Seneką powiedzieć: „Spełniam więcéj niż akt posłuszeństwa Bogu — zgadzam się na jego rozkazy; jestem mu posłuszny z całego serca nie dlatego tylko, że to jest konieczne" [3]). Płoszowski, powiadam, stał jedną nogą na stanowisku tych zniechęconych dekadentów, zbyt poważnych lub zbyt przesyconych, aby po upadku wolności politycznéj Rzymu cośkolwiek mogło ich przykuwać do życia, drugą na stanowisku dziecka, które w znacznym stopniu znudziły już wprawdzie dotychczasowe zabawki, ale które nie utraciło jeszcze ochoty do zabawy i chciałoby miéć nadzieję lepszą niż dotychczas.

Jest jedna wielka myśl tkwiąca w podstawie idei nieśmiertelności w chrześciańskiém jéj znaczeniu, jedno głębokie i zupełnie uprawnione uczucie, z którego ta idea płynie. Ideą tą — myśl o wynagrodzeniu krzywd tego życia, uczuciem — pragnienie sprawiedliwości. Im boleśniéj odczuwamy cierpienia i krzywdy, które spadły za życia na umierającego, im czelniejszą okazuje się w tém życiu bezkarność wy-

[1]) Martha, l. c., str. 125.

[2]) Martha, str. 169.

[3]) Renan, którego poglądy stanowią dziwną mieszaninę stoicyzmu z epikureizmem, jak to przystoi na współczesnego schyłkowca, wkłada te słowa w usta umierającego Prospera, parafrazując je w modlitwę: „Istoto wieczna i dobra, dzięki Ci za istnienie. Współdziałałem we wszystkich twych dziełach, służyłem wszystkim Twym celom. Błogosławię Ci." (*L'Eau de Jouvence*, p. 247).

uzdanéj zbrodni, tém silniéj wierzyć pragniemy i wierzymy szczerze przynajmniéj w tych chwilach, w inne życie, w którém cierpiący tutaj znajdzie ukojenie, a zuchwały zbrodniarz karę. Uczucie to i wiara z niego płynąca, przybierają szczególną potęgę, gdy tracimy kogoś z blizkich lub gdy myślimy o tych, którzy z naszéj winy cierpieli, a którym nie zdążyliśmy wynagrodzić w życiu tych cierpień. Ale idea nieśmiertelności najmniéj przemawia do Płoszowskiego tą wzniosłą stroną swoją. Nie pojął on jéj, tak jak rozminął się z nią podwójnie jego twórca, gdy w „Pójdźmy za nim" chciał z nieśmiertelności uczynić główną podstawę chrześciaństwa, a ideę tę ściągnął do tego samego poziomu co i bohater z „Bez dogmatu." Temu ostatniemu idzie głównie o to, czy życie dla niego po za grobem będzie takiém samém świętem, jak tu na ziemi? Podobny do dziecka żałującego, że niema siedmiu świąt w tygodniu, Płoszowski chciałby w przyszłém życiu miéć dalszy ciąg swoich „godzin sali", oczkować z aniołami i kokietować chociażby przed Bogiem. Wszak i na twarzy ojca w chwili konania czytał niezłomne przekonanie, że go tam nie przyjmą, jak byle kogo!

I Manfred i hr. Henryk zatrzymują się wobec tego wielkiego zagadnienia, ale żaden z nich nie wgląda tak bojaźliwie w nieznaną przyszłość, jak Płoszowski.

„Widzę ją — mówi hr. Henryk, stojąc nad otchłanią, w którą ma się rzucić — całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie, wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca — a pośrodku jéj Bóg, jak słońce co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje — a nic nie oświecca."

A ostatnie jego słowa są:

„Poezyo, bądź mi przeklęta, jako sam będę na wieki. — Ramiona idźcie i przerzynajcie te wały.

Manfred w monologu przypominającym nieco znakomity Hamletowski: „*To be, or not to be*" wynurza się w ten sposób:

In all the days of past and futur...
How few — how less than few — wherein the soul
Forbears to pant for death, and yet draws back
As from a stream in winter, though the chill
Be but a moments'.

(„Ze wszystkich dni przeszłych i przyszłych, jak mało, jak mniéj niż mało takich, w których dusza może się obronić od tęsknoty za śmiercią, a jednak cofa się przed nią, jak przed potokiem w zimie, chociaż chłód trwałby tylko chwilę"). I on stawia sobie pytanie, co bę-

dzie za grobem? i gotów je postawić chociażby odpowiedzią był sam grób.

Ale gdy zatrzymuje się nad tém, najwięcéj go obchodzi, czém jest jego ukochana Astarte:

> Czém teraz jest? Czy pokutnicą za moje winy,
> Istotą, o któréj myśléć nie śmiem — czy niczém? [1])

A gdy w ostatniéj godzinie żegna się z słońcem, mówi prosto: „*He is gone: I follow.* — Zaszło — idę za niém."

Cały ten maluczki strach śmierci, stanowiący zupełnie nową formacyę w naszéj literaturze pięknéj, a który z takiém mistrzowstwem analizy roztoczył przed nami w szkicu swoim p. Ign. Dąbrowski, skądże płynie, jeśli nie z owego skupienia wszystkiego na własnéj osobie, z tego wydęcia swojego *ja* do potwornéj wielkości, przesłaniającéj świat cały? Zrozumiałym jest naiwny egoizm młodzieńca, który jeszcze prawie nie żył, dla którego wszystko było w przyszłości; jego żal za niespełnionemi nadziejami, ledwie wysnutemi marzeniami, niewykonanymi planami... Ale dla tego sceptyka przeżytego—także „świat zapada się" z nim razem.

Płoszowski bierze nieśmiertelność z najsłabszéj strony; ależ każdy człowiek z sercem mógłby odpowiedzieć na jego utyskiwania:

„I cóż z tego, że m n i e nie będzie? Żyłem! A jeśli mogłem jeszcze zostawić po sobie coś dla ludzkości—to czy warto suszyć sobie głowę o to, co będzie po śmierci? Samolubna i jałowa ciekawość, do niczego nie prowadząca, bo nie od nas zależy cokolwiek w tém zmienić. Czyż uczciwym mam być jedynie po to, by uzyskać nagrodę, tak jak dziecko bywa grzeczne w nadziei łakoci? Wszak w najlepszym razie, — jeśli przyjmę nieśmiertelną osobowość w duchu najbardziéj kojących nadziei — nie będę tém czém jestem: nie będę tak czuł, tak myślał, jak obecnie, inne będą przywiązania, inne cele moje, będę się czuł obcym tym śmiertelnikom, których tu porzucam, którzy mi są drodzy... Wszak i tak będę miał dość powodów, aby wykrzyknąć razem z Achillesem: „wolę być parobkiem na ziemi, niż królem w państwie cieniów"; aby wślad za Pope'm powtórzyć:

> „Nierozsądny człowieku! chcesz w niebie zapłaty
> Podobnéj tym próżnościom, w któreś tu bogaty?
> Dzieckiem, późniéj mężczyzną — jedna jest osoba?
> A czyż to samo cacko dziś ci się podoba?

---

[1]) *What is she now? — a sufferer for my sins —*
A thing I dare not think upon — or nothing.
(Akt II, Sc. 2).

Może jak Indyanin chcesz ożyć po zgonie
Z twym psem, z twoją butelką i przy lubéj żonie?“ [1])

— Skarżysz się, że nie masz podstaw, któreby ci wystarczyły w godzinie śmierci? Ale czyż warto tak dbać o tę jednę godzinę? Czy nie lepiéj by pomyśleć o podstawach, któreby starczyły na wszystkie nodziny życia, nie na tę jedną tylko? Czy mamy na wzór przesycokych sybarytów dekadentyzmu starożytnego robić z całéj filozofii sztugę eleganckiego umierania? Nie możemy nic poradzić na to, co będzie po śmierci, ale od nas zależy obrać piękną śmierć, śmierć, która zadowolni w nas i artystę i moralistę — a wtedy nie będziemy potrzebowali przygotowywać się do niéj filozofią całego życia.

Na uczucie miłości składają się bardzo liczne pierwiastki a przewaga tych lub owych służy za doskonały probierz charakteru moralnego jednostki. Jeśli zostawimy na uboczu niższe żądze, wchodzące w skład tego uczucia, to czysto psychologiczne jego składniki możemy uważać za należące do dwóch kategoryi: czynników estetycznych, t. j. nieświadomego i nieprzezwyciężonego wrażenia, które piękno wywiera na zmysły i moralnych t. j. tych, których siła pociągająca polega na ocenie charakteru moralnego lub położenia ukochanéj istoty. Im większa rola w miłości przypada zmysłom, tém bardziéj przedmiot jéj jest „upragniony“, gdyż nie jest ona czystą, estetyczną kontemplacyą prawdziwego poety-artysty, lecz raczéj da się porównać z zazdrosną chciwością zbieracza pseudo-estetyka; przeciwnie, im mniéj samolubną jest miłość, im mniéjszy w niéj udział bierze egoizm, tém przedmiot jéj jest bardziéj „ukochany“, tém chętniéj zdobywamy się na poświęcenie się dla niego. Pierwszy rodzaj uczucia budzi się najczęściéj w naturach płytkich moralnie a czepia się najchętniéj powodzenia i blasku; drugi świadczy o naturze głębszéj uczuciowo i szuka przedmiotu swego w zaciszu; czasem nawet czyjeś cierpienie zasłużone lub nie, nieszczęście i t. d. stają się zródłem miłości dla podobnych natur.

Płoszowski jest, jak sam mówi o sobie, istotą bardzo złożoną, taką téż jest i miłość jego; ale rozglądając się w niéj uważniéj, łatwo dostrzeżemy ogromną przewagę czynników estetycznych i samolubnych.

Przypomnijmy sobie pojedyncze momenta roztaczającego się w powieści dramatu.

---

[1]) Wiersz o człowieku przekład Ludwika Kamińskiego (Wybór poezyi Popea. Warszawa, 1822.

Płoszowski spotyka się z Anielką na balu. Nic tak potężnie nie wpływa na postęp i charakter miłości, zwłaszcza w naturach poetyckich, jak pierwsze spotkanie. Owo pierwsze spotkanie było doskonale obmyślane przez matkę Anielki, któréj tajemnicę zdradza ciotka.

„Ślicznie jéj w tych fiołkach! Ha! może to i dobra była myśl, żeby ją na balu pierwszy raz zobaczył!"

Ale grunt tu nie we fiołkach ani w balowym stroju, który, mówiąc nawiasem, rzadko upiększa kobiétę, tylko w tém całém otoczeniu sztucznem, w téj atmosferze balowéj, odrywającéj człowieka od rzeczywistości i podniecającéj fantazyą. Płoszowskiego, tego typowego pseudoestetyka, nie wzruszyła by, jak Ulissesa, piękna królewna Nauzykaa, zajęta praniem szat na brzegu morskim.

Wszystko składa się na zbliżenie Leona z Anielką: i ta poufałość, do któréj upoważnia blizkie kuzynostwo, i urok zupełnéj nowości — gdyż Anielkę znał Płoszowski poprzednio jako małe dziecko, i ta poczciwość pozornie czysto braterskiego stosunku, który zdaje się mówi do obojga: „czy tak czy inaczéj, mam prawo i powinienem kochać." Wprawdzie Płoszowski, jak wszyscy ludzie bez charakteru, jest kapryśny i przekorny; „nie lubi by go pytano", chociaż jak sam mówi gdzieindziéj, „zmysły prowadziły go zawsze tam, gdzie im się podobało." Więc i tu zamiary ciotki zbyt widocznie stają pozornie (w jego oczach) jako przeszkoda; w gruncie jednak tylko więcéj zachęcają i budzą jego ciekawość: już przed spotkaniem zastanawiał się nad pytaniem: gdzie jest ta doskonałość, którą uszczęśliwić go chce ciotka. A co najwięcéj go zwycięża, to sympatya dlań Anielki, która jest jak najlepiéj względem niego uprzedzona i uważa go prawie za przeznaczonego jéj na męża, owa bezwiedna kokieterya, „śliczna, bo płynąca z rozradowanego serca, które chce się przypodobać drugiemu wybranemu sercu."

Miłość szybko rośnie; blizkość i zacisze wiejskie sprzyjają jéj. Widok szczęścia domowego Śniatyńskich—młodego kochającego się małżeństwa i energiczne namowy jego [1]) już popychają Płoszowskiego

---

[1]) ... Na wagę złota ją bierz! co to na wagę złota! — na karaty—rozumiesz! Ty nie masz poprostu stałego miejsca zamieszkania, nietylko pod względem fizycznym, ale umysłowym i moralnym; nie masz podstaw, nie masz spokoju — ona ci to wszystko da. Tylko jéj nie przefilozofuj, jak przefilozofowałeś swoje zdolności i swoje trzydzieści pięć lat życia!"

Po takiém energicznem napędzaniu powziął Płoszowski chwilowe postanowienie:

— Nie, jéj nie przefilozofuję bo ją kocham. I odprowadzając Anielkę do

do stanowczego kroku, ale, jako człowiek słaby, odkłada do jutra. Tymczasem w chwili, gdy uczucie jego, poparte rozumowaniami Śniatyńskiego, dochodzi do najwyższego punktu, wiadomość o chorobie ojca nagle wzywa go do Rzymu. W krótkim czasie ojciec jego umiéra. Smutny ten wypadek był by dla każdego innego powodem zapewne do odłożenia planów matrymonialnych, ale nie do ich porzucenia na zawsze. Przeciwnie, może właśnie smutek i poczucie samotności jeszcze więcéj pobudziły by do szukania współczucia i podpory ze strony kochającéj i ukochanéj duszy, a koniec pierwszego tomu był by dla każdego innego końcem powieści. Ale nie dla Płoszowskiego. Też same uczucia popychają go właśnie w przeciwną stronę, w objęcia zmysłowéj kobiéty, pozbawionéj wszelkiéj wartości moralnéj, dla któréj czuje pogardę, przebijającą się w każdém o niéj słowie, i rozdrażnienie jako na przyczynę swego upadku, prowadzące go aż do niesprawiedliwości względem niéj. Ta haniebna niewola dobrowolnie przyjęta dezoryentuje go zupełnie i niweczy w nim te ostatnie ślady woli, których nie zniszczyło przygnębienie po śmierci ojca. „Zatraca się we mnie poczucie dobrego i złego" pisze on w tym czasie. „Przypuśćmy, że jesteś gorszy niż byłeś; dla czegóż masz męczyć się z jakiegokolwiek powodu?" Kapryśną miłość własną jego podnieca list ciotki, która niezręcznie wspomina o zamiarach Kromickiego względem Anielki, domagając się stanowczéj odpowiedzi od Leona. Pod chwilowém wrażeniem rozdrażnienia, w téj obojętności na wszystko, w którą wtrąciło go poczucie upadku moralnego, odpowiada Płoszowski, że „życzy Anielce szczęścia z Kromickim." I ta odpowiedź była by zrozumiałą w ustach kogo innego: po epizodzie z Davisową człowiek, który „nie utracił poczucia dobrego i złego", nie miał by odwagi mówić Anielce o swojéj miłości; wyrzeczenie się jéj było by naturalnym wynikiem winy względem niéj i znowuż punkt ten był by punktem końcowym powieści. Inaczéj jednak z Płoszowskim — on, który się sprzeniewierzył Anielce w tak haniebny sposób, który pozostawia ją przez parę miesięcy bez żadnéj wiadomości o sobie, dręczoną smutkiem za nim i niepokojem oń, ten Płoszowski, czuje się jeszcze obrażonym tém, że ciotka mu pisze o zalotach Kromickiego, któremu zresztą bynajmniéj nie sprzyja Anielka, z upragnieniem oczekująca od Leona tak znacząco przyrzeczonego stanowczego słowa. Ta rada jego jest

---

domu całuję ją, a późniéj w sposób bardzo przejrzysty zapowiada oświadczyny na jutro, sam zaś pisze w swoim dzienniku: „Mam uczucie człowieka, który przyciska sobie palcami oczy, uszy i nozdrza, aby dać nurka w głębinę."—Tylko że ten złowiek nigdy nie ma odwagi oddać się temu uczuciu i zanurzyć się istotnie.

objawem kaprysu, miłości własnéj podrażnionéj złą myślą, że może Anielka waży Kromickiego na téj saméj szali co i jego. Dopiéro wiadomość, że Anielka, wziąwszy do serca jego radę, dała słowo Kromickiemu, galwanizuje go chwilowo—ale znowuż tylko chwilowo: w naturze Płoszowskiego jest coś takiego, co mu każe robić tylko pół kroku nawet tam, gdzie inny nie potrafił by posunąć się mniéj jak o cały. Zamiast tego, żeby pojechać natychmiast, przeprosić i przejednać sobie Anielkę, zmusić ją przez osobiste widzenie do cofnięcia nierozsądnego przyrzeczenia, co by był niezawodnie uczynił każdy w takich okolicznościach, Leon posługuje się pośrednictwem telegrafu i Śniatyńskiego. Płoszowskiemu wciąż chce się, żeby inni nie tylko robili za niego [1]), ale za niego chcieli i domyślali się prawdziwych jego pragnień z poza sprzecznych wygłoszonych przezeń zdań i uczuć. Kiedy te kroki a raczéj półkroki nie doprowadzają do niczego, Płoszowski leczy się na zmartwienia miłości tak, jak zwykle leczą na wszelkie zmartwienia ludzie bogaci, t. j. za pomocą podróży. Późniéj, jak wszyscy ludzie skłonni do kompromisów, zadaje sobie „czysto teoretyczne" pytanie, czy miał by prawo sprowadzić panią Kromicką z drogi cnoty, a następnie, nie rozwiązawszy go teoretycznie, przyjeżdża do Płoszowa (gdzie w nieobecności męża bawi Anielka z matką) szukać szczęścia na drodze prób praktycznych. Tu zaczyna się ów ciężki i nizki—bo pozbawiony wszelkiego wyższego tragizmu dramat,—kończący się jednak moralném odrodzeniem Płoszowskiego.

Wytrwałość Anielki przy swych zasadach ma skutek dwojaki. Najprzód, doprowadzając Płoszowskiego do egzasperacyi, każe mu uciec się do wszystkich zasobów swego sprężystego umysłu, aby uzyskać jeśli nie to, co pierwotnie uważał za ostateczny cel swoich zabiegów, to przynajmniéj jakiś możliwy *modus vivendi*, a w tych zabiegach wykazuje, że wcale nie jest pozbawiony potrzebnych w walce życiowéj uzdolnień. Obluzowany mechanizm duchowy tego człowieka, w którym żadna zdrowa sprężyna nie mogła dojść do stanu napięcia, potrzebnego dla wywołania ruchu, teraz, podrażniony oporem, wykazuje niezwykłą ruchliwość i doskonałe dopasowanie do siebie wszystkich części. Poprawność tego działania budzi w Płoszowskim i „szczęścia mistrza, który czuje, że mu się arcydzieło udaje, ...i zadowolenie pająka, pewnego, że mucha wpadnie w jego sieci." Wszystkie te wyrachowania i zabiegi rozbijają się jednak o niezachwiane zasady Anielki, jak morskie fale o granitową skałę. Ów „mistrz i pająk", który nie mając żadnych zasad, nie wierzył w istnienie podobnéj niezłomności

[1]) „Słabe charaktery potrzebują nieskończonych ułatwień"—pisze on.

i dla tego nie wziął jéj w rachubę, zostaje zwyciężony zawsze i tém mocniéj wije się w mękach niepowodzenia, im pewniejszym był zwycięstwa.

Ale jednocześnie opór Anielki budzi w nim coraz większą cześć dla niéj, coraz to uszlachetnia jego miłość, podnosi ją i z mieszaniny kaprysu, zmysłowych popędów, miłości własnéj i estetycznego pociągu wydziela czyste etyczne ziarno, oczyszcza to złote jądro, które, według słów Śniatyńskiego, kryło się w sercu Leona pod skorupą kwarcu. Anielka była pierwszą zacną młodą kobiétą, którą spotykał w życiu.

Kochała go—nie wątpił o tém. Wobec tego jéj opór zdaje mu się z początku niemożliwym, późniéj niezrozumiałym, niedorzecznym—wywołuje on szereg ironicznych uwag nad „prostotą duszy kobiét" zadawalniających się „dziesięciorgiem" i „kodeksem uczciwéj Magdy", przez które jednak dobrze prześwieca ów pogląd lisa na zbyt wysoki gołębnik, tak często występujący w jego sądach o kobiétach — ale mimo to wszystko nie może nie kochać jéj i nie czcić coraz więcéj.

Ubocznem następstwem tego wszystkiego jest szereg mniéj lub więcéj cynicznych, mniéj lub więcéj rzewnych ustępów w jego dzienniku, zapełniających dwa ostatnie tomy powieści, a w których umysł jego umiejący „zawiesić się na każdym przedmiocie, jak małpa zawiesza się ogonem na gałęzi — i wywracać koziołki", odesłania nam całą chwiejność i bezwyznaniowość moralną, stanowiącą bardzo ciekawy okaz etyki „bezdogmatycznéj"...

„Mogłem stać się twojem szczęściem, a stałem się nieszczęściem —i ja to jestem przyczyną twéj śmierci, bo gdybym był innym człowiekiem, gdyby mi nie brakło wszystkich podstaw życiowych—nie przyszły by na ciebie te wstrząśnienia, które cię zabiły.

„Jam to już podczas ostatnich twych chwil na świecie zrozumiał i przyrzekłem sobie, że pójdę za Tobą...

„A czy Ty myślisz, że ja się śmierci nie boję? Boję się; ponieważ nie wiem, co tam jest, i widzę tylko ciemność bez granic, przed którą się wzdrygam. Nie wiem, czy tam jest nicość, czy jakiś byt bez przestrzeni i czasu, czy może jakiś wicher międzyplanetarny unosi monadę duchową z gwiazdy na gwiazdę i wszczepia ją w coraz nowe istnienia...

„Ale jeśliś Ty przez moje „niewiem" umarła — jakże ja mam tu ostać i żyć?

„Więc im bardziéj się boję, im bardziéj nie wiem, témbardziéj nie mogę Cię tam saméj puścić—nie mogę moja Anielko i idę"...

W tych ostatnich chwilach staje Płoszowski na wysokości tragicznéj godnéj Manfreda, do którego znowuż zbliża się tém, że jak tamten jest

przyczyną śmierci swojéj ukochanéj, że jak tamten zabija ją miłością swoją. Jakie podobieństwo, ale i jakaż różnica pomiędzy tylko co przytoczonym ustępem a temi prostemi i silnemi słowy z monologu Manfreda: „Gdybym nie był nigdy żył, ta którą kocham była by przy życiu; gdybym nie był kochał, ta którą kocham była by wciąż piękną, szczęśliwą i darzącą szczęściem" [1]). Manfred poszedł do piekła, aby jeśli nie wydrzéć królestwu śmierci kochankę swoję, to przynajmniéj ujrzéć ją; Płoszowski umié tylko pójść w jéj ślady...

Tak apoteozują się ostatecznie uczucia Płoszowskiego; dusza jego stopniowo oczyszcza się. Jak Poza staje się dla Karlosa tłomaczem jego miłości i od Królowéj stopniowo odwraca uczucia jego ku pognębionéj mieczem i stosami Alby Flandryi, tak Anielka, tłomaczy Płoszowskiemu miłość jego, a chociaż nie uczyni zeń bohatera, podnosi go jednak do godności człowieka szczerze kochającego. Z początku, gdy swoim dobrotliwym wpływem usiłuje go wyprowadzić z owego zaczarowanego koła ustawicznego czyhania i podstępów, jemu się zdaje, że go wyprowadzają w pole, a gdy następuje w nim ostatni przełom — śmierć dawnego Płoszowskiego — zdaje mu się, że to już koniec jego istoty; ale teraz właśnie odrodzony i oczyszczony wraca do niéj z lepszém uczuciem i z tém uczuciem idzie za nią w wieczność.

Tak gdy bóg, zerwawszy wnet z ziemskością
I ludzkiego zbywszy się okrycia
W szlak eteru promieniejąc wpada —
Lot niezwykły poi go radością,
Płynie wzwyż — a sen ponury życia
Coraz niżéj... niżéj... w dół opada.

(Schiller. Ideał i życie).

. . . . . .

Jeśli pominiemy tę ostatnią fazę miłości Płoszowskiego, w któréj wznosi się ona na etyczne wyżyny, to w całym jéj poprzednim przebiegu zauważymy ogromną przewagę czynników niższych estetycznych a raczéj pseudo-estetycznych.

Miłość jego zależy zupełnie od dekoracyi, wśród jakich widzi Anielkę: bierze go za serce, gdy ukazuje się w błękitném świetle ranka po skończonym balu, a „psuje mu ją", ciotka, opowiadając o zalotach

---

[1]) *If I had never lived, that which I love*
Had still been living; had I never loved
That which I love would still be beautiful
Happy and giving hapiness.

(Akt II, Sc. 2).

Kromickiego. Wogóle podobny jest w tym względzie do uczniaka, który rozczarowuje się w swoim ideale, zobaczywszy rozpruty bucik lub plamę na sukience. Lecz i do tego estetycznego uczucia nie podnosi się Płoszowski odrazu: pierwsze jego myśli są znowuż „poglądem lisa na gołębnik". „Aeh żeby ona miała lat trzydzieści i nie była panną, z którą mnie swatają!"—takim wykrzyknikiem kończy opis pierwszego spotkania. Dopiéro gdy ją odjechał, błękitna mgła oddalenia przesłania rzeczywistość, naturalna idealizacya uczuciowa robi mu z niéj „więcéj ukochaną duszę a mniéj upragnioną kobiétę", ale téż uczucie to również szybko słabnie jak i idealizuje się: elizejski cień Anielki, zachowany w pamięci, musi ustąpić wobec rzeczywistości w postaci Dawisowéj.

Płoszowski jest naturą wysoce wrażliwą w zakresie taktu psychologicznego; posiada on wiele poczucia delikatności i przyzwoitości moralnéj, i te to cechy ma niezawodnie na myśli, mówiąc o sobie, że wrażliwość estetyczna... chroni go od cynizmu czyli od ostatecznego zepsucia;—w jakim stosunku zostaje ta właściwość do „bezwzględnéj piękności jako egoizmu" wcielonego w Dawisowéj i czy może ona zastąpić etykę, o tém powiemy niebawem kilka słów. Wrażliwość ta nie pozwala Płoszowskiemu oświadczyć się Anielce po otrzymaniu wiadomości o chorobie ojca; tak przynajmniéj sam tłomaczy ową zwłokę: „Było by czémś przeciwném naturze i cyniczném z mojéj strony szeptać czułe słowa, nie wiedząc czy właśnie w téj chwili ojciec nie wydaje ostatniego tchnienia". Takie usprawiedliwienie zawiéra jednak tylko połowę prawdy; Płoszowski jako człowiek ogarnięty wprost panicznym strachem wobec jakiegokolwiek bądź postanowienia, obawiający się nadewszystko „zatrzaśnięcia klamki", rad oczywiście ze sposobności, która mu pozwala odroczyć tę straszną chwilę. Nie mamy jednak powodu nie wierzyć mu, iżby i przytoczony przezeń skrupuł nie odegrał w tém swojéj ròli; a w takim razie służy tylko za wyraźny dowód tego jak lekkomyślnie i płocho pojmował Leon miłość w tym jéj pierwszym okresie. Gdyby ją brał nawet ze strony czysto estetycznéj, ale prawdziwie estetycznéj, gdyby była dlań taką świętością jak sztuka dla artysty; nie wydała by mu się cyniczną mowa o niéj nawet w najgroźniejszéj chwili, tak samo jak nie raziła by modlitwa płynąca w podobnéj chwili z ust wierzącego. Zapewne, że w tych okolicznościach inaczéj by mówił o niéj niż w zwykłych. Ale dla Płoszowskiego miłość nieodłączną była od „czułych szeptów" i całéj téj fałszywéj sceneryi, któréj się nauczył w swoich „godzinach sali". Patrząc przytem na świat przez odwrócone szkła swego dziecinnego egoizmu, który mu oddalał i czynił małém wszystko, co nie wiązało się bezpośrednio z je-

go przyjemnością, wyprowadza on taką filozofią, „że wojownik, kanclerz państwa, kupiec, bankier, rolnik" pracują jedynie na to „by usta Hermana spoczęły na ustach Doroteі!" Nie przychodziła mu na myśl, pod formą poważnego postanowienia związania na zawsze życia swego z życiem innéj istoty w otoczeniu całego szeregu obowiązków, wkładanych na siebie, obowiązków przedewszystkiém względem rodziny i ojca, który za kilka dni miał wykrzyknąć:

— Cobym dał, gdybym mógł jeszcze tak samo uściskać synowę! Daléj względem Anielki i społeczeństwa, dla którego mógł by wychować kilku dzielniejszych od siebie potomków. Obowiązki te są tak ważne, że bynajmniéj nie bledną wobec grozy śmierci. Czyż nie widujemy w życiu i na scenie par kochających się połączonych ręką umierającego, a kombinacya taka ani razi nas cynizmem ani się wydaje niestosowną: przeciwnie, groza śmierci kładzie piętno swojéj powagi na miłość, podnosząc ją z estetycznie uczuciowego związku do wysokości etycznéj.

Czyż naprawdę Leon nie mógł przewidzieć, jaką radość sprawiła by ojcu wiadomość o tém, że syn jego nareszcie przybił do tego, co nazywają portem życiowym? Czy z drugiéj strony niewiadomość o stanie zdrowia ojca, konieczność wyjazdu na czas nieokreślony i prawdopodobieństwo odroczenia ślubu wskutek żałoby, nie były by pobudziły człowieka sumiennego na jego miejscu do związania siebie słowem, chociażby dla tego, żeby nie zostawiać Anielki w niepewności po tém przyrzeczeniu połowiczném czegoś stanowczego „na jutro?"

Ale nie tylko nie uczynił tego nawet z Rzymu, gdy zdrowie ojca chwilowo polepszyło się, gdy bawił się marzeniami o przyjeździe Anielki i ślubie w Rzymie—to tak dogodne dla słabych natur: marzenia do niczego nie obowiązują, a namarzywszy się lub wygadawszy czują, że już zadość uczynili swojéj potrzebie czynu—zaledwie zdobył się na pozdrowienie jéj w przypisku do listu.

Gdyby pobudka do wstrzymania się z oświadczeniem, którą wystawił Leon, była prawdziwą i jedyną, to teraz właśnie nasuwała się doskonała sposobność naprawienia złego i wyprowadzenia Anielki z niepewności. Mógł by był napisać to, czego nie mógł powiedzieć, tém bardziéj, że list służy za jedno z owych ułatwień, które według jego wyznania, tak potrzebne są dla natur słabych. Ale i na ten środek okazuje się za słabym: „Dziś zdarłem trzy lub cztery listy do Anielki. Po obiedzie poszedłem do pracowni ojca, by pomówić z nim o zamiarach ciotki." — Te „zamiary ciotki" są wspaniałe; nieświadomie wykazuje tu Płoszowski, jak mało w grę wchodziła jego wola, jak mało przyzwyczaił się obierać ją za dźwignię dla swoich czynów.

Dla czegoż nie może się zdobyć na list, tak jak nie mógł się ...zdobyć na słowo kiedy chciał je wyrzec? Wszystkie ćwiczenia w „godzinach sali", gdzie był tak pewnym siebie, nie pomogły mu nic w téj jednéj godzinie gdzie szło o jego przyszłość. Dlaczego? Dla téj saméj przyczyny, dla jakiéj łatwiéj być odważnym wobec floreta z guzikiem i w drucianéj masce, niż wobec gołéj szpady. „W godzinach sali" Leon urządzał sobie rozrywkę i wiedział, że mało go obejdzie jeśli ta rozrywka nie powiedzie się; tu kochał prawdziwie. W „godzinach sali" wszelkie wynurzenia miłosne do niczego go nie obowiązywały; tu szło o postanowienie na całe życie, przed wszelkiém zaś stanowczém postanowieniem czuł Leon dreszcz zgrozy, jak tchórz przed śmiercią. Co dla natury energicznéj było by właśnie najsilniejszą pobudką — prawdziwość uczucia, ważność i stanowczość chwili — to na niego działało jak hamulec.

Zamiast więc napisać parę stanowczych słów do Anielki, zapisuje długie stronnice dziennika swojemi wahaniami i zwątpieniami lub trawi godziny na gawędziarstwie z Davisową, o któréj sam mówi, że „inteligencya jéj nie jest inteligencyą duszy, lecz mózgu", t. j. że ma tylko głowę umeblowaną pięknemi ideami, nie przenikającemi do serca—jak to zresztą i u nas często spotkać można — i że „na religię, sztukę, filozofią, literaturę patrzy jak na przybory tualetowe", ale za to ma ciało Junony i męża zużytego morfinika, za którego poszła dla jego bogactw, albo jak naiwnie powtarza za nią Płoszowski „nie wprost dla jego milionów, ale dla tego, żeby za pomocą ich uczynić sobie życie, o ile w mocy ludzkiéj, ozdobne. Ponieważ zaś potrzebuje on ciągle usprawiedliwiać się przed sobą z braku postanowienia, więc utraciwszy jeden powód wyszukuje nowy dla uzasadnienia swych wahań: zaczyna rozważać, czy ma prawo żenić się z Anielką, nie będąc pewny, że ją uszczęśliwi; godne szacunku zastanowienie, gdyby nie było tylko wybiegiem, po za którym ukrywa się jeszcze większa, bo rzeczywyzka yr twda zamiast urojonéj, lub gdyby postawione było wcześniéj.

Po śmierci ojca, nagle przerywającéj tę „letnią kąpiel dyletantyzmu", gdy ciotka przyjeżdża i z całą delikatnością kochającéj kobiéty zaprasza go do Płoszowa, on widzi w tém „tylko chęć prowadzenia daléj swatów", co oburza go wobec świeżéj mogiły ojca. Oburzenie to jednak nie przeszkadza mu jechać z Davisami do Peli i tu niebawem znaleźć wcale nie idealnie-sielankową pociechę w osobie pani Davisowéj.

Wprzód jeszcze nim to nastąpiło, analizując swoje uczucie dla Anielki pisze: „Śmierć ojca rozproszyła skupienie mego uczucia. Tak

samo było by naprzykład gdybym pisał jakieś dzieło literackie i gdyby zewnętrzne a nieszczęśliwe wypadki oderwały mnie od niego". To porównanie jest bardzo charakterystyczne. Płoszowski jak i hr. Henryk ma zawsze w sobie widza i aktora. I w tym względzie jednak istnieje między nimi różnica. Pierwszy ma tak osłabione władze czynne, że nie czuje głębokiéj różnicy pomiędzy marzeniem a życiem, miłość dla niego jest tylko „dziełem literackiém"; to owo niepochwytne, a jednak tak silnie odczuwane przez każdą zdrową naturę, coś, które odróżnia fikcyę od rzeczywistości, dla niego prawie nie istnieje. Hr. Henryk przeciwnie tak poetycznie odczuwa każde uderzenie rzeczywistości, że wydaje mu się jakoby tylko „dramat układał."

Zkąd to podobieństwo i zkąd różnica?

Przyczynę pierwszego już wyjaśniliśmy wyżéj: ani jeden, ani drugi nie mają tego „zdrowego rozumu" filistrów, który ściśle odgranicza zakres „złudzeń" od zakresu rzeczywistości; granica ta zaciéra się w nich tak dalece, że jedno zlewa się z drugiém. Podobni są, bo obaj należą do jednego typu ludzi; różnica wynika ztąd, że należą do różnych pokoleń, że wychowali się w odmiennych warunkach dziejowych, pod wpływem niejednakowéj filozofii. Henryk był dzieckiem epoki romantyków i idealistów, dla których idea była wszystkiém; poezya, na któréj się wychował, uczyła go wznosić oczy ku gwiazdom, filozofia, na któréj się kształcił, mówiła mu o wszechpotędze ducha i woli, o panowaniu idei nad faktem. Wierny syn tych doktryn gotów był raczéj zdecydować się zbyt pośpiesznie, niż zadługo się namyślać; raczéj pójść za widmem zwodniczém, które fantazya jego ubrała w tęczowe barwy poezyi, niż zatrzymać się w wahaniu na rozdrożu.

Płoszowski wychowywał się wśród realizmu, który zabił poezyę, odrzucił ideały, a za filozofią swoję obrał uwielbienie faktu, t. j. rzeczywistości. Ta filozofia od lat najmłodszych uczyła go, że ideały są chorobliwą i szkodliwą mrzonką, wola — urojeniem, wielkie cele — śmieszną donkiszoteryą. Zamiast porywać się ku gwiazdom kazała mu zbiérać ziarko do ziarka; wskazała rozkosz za jedyny, godny i rozumny cel życia. Jak i na czém mogła się wyrobić ta wola, w którą nie wierzył, któréj nie miał ku czemu skierować, skoro cele o jakich mu pozwalała myśléć jego filozofia, były tak małostkowe, że dla nich nie warto było chciéć?

Ta filozofia nie przerobiła oczywiście charakteru Płoszowskiego, bo żadna filozofia nie może do gruntu przekształcić człowieka; ale stworzyła ciągły rozbrat pomiędzy wrodzonemi popędami i skłonnościami a rozumem; gdy jedne mówiły „tak", drugi odpowiadał „nie" lub „niewiem"; gdy jedne wołały „chcę", drugi mówił „nie warto."

Ten rozdźwięk sparaliżował w nim ostatecznie wolę, bo czémże jest postanowienie, jak nie zadeklarowaną przez rozum chęcią?

Płoszowski jest naturą wysoce złożoną, jest przytém, jak wspominaliśmy, może za mało typem a za nadto indywiduum (co nie jest bynajmniéj zarzutem przeciw jego wartości estetycznéj). To téż analizując go, spotykamy w nim jak w każdym żywym człowieku pełno sprzeczności, nie o logicznych tu mówię — bo te wynikają z natury samego typu—ale psychologicznych. Gdy czytamy jego narzekania na filozofią, która uczyniła go nieszczęśliwym, mimowoli zadajemy sobie pytanie: „Czy nie dla tegoś wybrał taką marną filozofię, że i sam jesteś marny?"—bo przecież filozofią sami sobie wytwarzamy, a przynajmniéj z rozmaitych wybieramy tę, która najlepiéj odpowiada naszym usposobieniom, tak jak dobiéramy sobie odzienie do miary. Ale gdy widzimy jak boleść przygniata tego człowieka, kiedy probuje wyprężać się pod tym ciężarem, czujemy w nim siłę atlety ducha i gotowiśmy powtórzyć za nim: „to człowiek, który mógł by wiele zrobić, który ma siły ku temu, brak mu tylko gruntu do oparcia się", brak mu dogmatu, i to nie dogmatu pozaświatowego, ale dogmatu życia; nie tego, z którego płynie wiara kontemplacyjna, lecz tego który stwarza czyn.

Może być, że inna filozofia zrobiła by Płoszowskiego lepszym. Ale cóż ma robić człowiek jeśli znajduje na rynku tylko takie odzienia, które mu nie pasują do miary? Jeśli sam nie umié uszyć, musi wziąć pierwsze lepsze—i cóż dziwnego, że mu w niém niewygodnie?

Przyjął więc poglądy krążące, chociaż wbrew sobie samemu. Ta filozofia powiedziała mu „nie porywaj się do wielkich rzeczy", a on nie śmiał zaprzeczyć; zasłoniła mu dalsze widoki, a on nie miał siły zedrzéć téj zasłony — i oto „jak ptak raniony wlecze skrzydło po ziemi"...

Ale czy ta filozofia uczyniła go jałowym sybarytą życia? Czy ona zabiła w nim twórczość?

Tu już nie polemizujemy z Płoszowskim lecz, z Sienkiewiczem. Autor powieści usiłując przedstawić brak dogmatu jako źródło jałowości duchowéj, potrącił o niezmiernie głębokie zagadnienie psychologiczne, zagadnienie stosunku wartości moralnéj jednostki do jéj twórczości umysłowéj.

Tam gdzie jest żywotność, gdzie jest siła uczuć, tam dogmaty powstają same przez się i zupełnie nieświadomie, ci zaś, którzy najwięcéj deklamują przeciw dogmatom, mają zwykle swoje wcale nie chwiejne. A jeśli nawet krytyka z całym arsenałem wiedzy rzeczywistéj lub urojonéj uzbraja się przeciwko owym dogmatom, to człowiek niepozbawiony twórczości, potrafi wystawić argumenta przeciw argu-

mentom i bądź co bądź obronić tę twierdzę, która jest żywotném źródłem jego istoty.

Gdyby Płoszowski był, nie mówię już geniuszem, ale tym człowiekiem obdarzonym pewnemi zasobami twórczości w dziedzinie teoretycznéj lub inicyatywy w zakresie praktyki, nie byłby się zatrzymał w pół drogi analizy i krytyki. Na miejscu rozbitéj filozofii znalazłby nową, swoją własną; zamiast zniszczonych dogmatów, znalazłby nowe, nie troszcząc się o konsekwencyę i o małostki logiczne, a poszedłby pewnym krokiem raz obraną drogą. Ale nie ma w nim tego. W żadnym zakresie nie jest on nowatorem, wzbijającym się nad swój wiek, ukazującym nowe drogi. Jest on tylko zwierciadłem, niezmiernie wrażliwém, odbijającém i skupiającém wszystkie światła i błędne ogniki swego czasu. Dlatego musi przyjąć to życie, na które się jednak nie zgadza — bo jako jednostka typowa, posiada wyrafinowaną uczuciowość i wrażliwość na brzydotę moralną.

I czy *ta* filozofia, na któréj się kształcił Płoszowski, koniecznie już prowadzi do bezdogmatycznego hamletyzmu?

Wprawdzie wiedza nie może dać żadnych haseł do czynu, bo jéj twierdzenia są zawsze względne i warunkowe, nigdy nie rozkazujące; czyn zaś spoczywa na rozkazie. Przeciwnie, sama wiara w wiedzę, spoczywa już na pewnym rozkaźniku, który razem z Feuerbachem moglibyśmy sformułować tak: „Zadawalniaj się światem danym!"

Takim był dogmat pozytywizmu filozoficznego i dogmat ten ma pewną świeżość i żywotność, może służyć za podstawę dla szerokohumanitarnego rozwoju, czego najlepszym dowodem kult ludzkości u Comte'a i wiara filozoficzna Feuerbacha, którą sam on najlepiéj charakteryzował, mówiąc:

„Bóg był moją pierwszą myślą, rozum drugą, człowiek trzecią i ostatnią."

Ale Płoszowski nie jest pozytywistą; jest on tylko utworem wyrosłym na gruncie pozytywizmu i to nie filozoficznego, szeroko pojmującego swoje zadanie, usuwającego problemata, przewyższające rozum ludzki i pozaświatowe na to, aby całą siłę myśli skupić na praktycznych i żywotnych, ale tego brukowego pozytywizmu, który był zlepkiem reakcyi politycznéj z niewiarą filozoficzną, braku ideałów w sztuce, z płaszczeniem się przed faktem w życiu, dogmatyką użyteczności i interesu w dziedzinie moralnéj i mieszczańską filozofią współzawodnictwa na polu społecznem.

Bardzo trafnie zestawia p. Bogusławski w swoim rozbiorze powieści Sienkiewicza trzy typy wyprowadzone przez tegoż pisarza w rozmaitych okresach jego twórczości: młodego studenta entuzyastę

wiedzy z „Hani", doktora Józwowicza z dramatu „Na jedną kartę" i „Płoszowskiego." Każdy z nich istotnie odpowiada pewnéj fazie rozwoju u nas pozytywizmu, jako poglądu na świat, ale czy można uważać te trzy postaci, jako trzy fazy rozwoju jednego i tegoż samego typu, a może osobnika?

Student z „Hani", ów spartanin w dziurawym płaszczu, napewno nie został ani Józwowiczem ani Płoszowskim, chociaż niezawodnie zmienił się z biegiem lat: wkrótce musiał dostrzedz, że jeśli miłość dla kobiety nie jest w stanie wypełnić i wyczerpać całego życia, to znajdzie się jednak przedmiot godniejszy jego młodzieńczych zapałów, niż przewód pokarmowy wymoczka, a tym przedmiotem jest miłość szersza, miłość „wogóle." Dziś może wiatr stepowy pędzi śnieżne wichry nad jego daleką, nieznaną mogiłą, a pamięć o nim przechowała się zaledwie w sercu kilku przyjaciół.

Józwowicz, już będąc studentem, miał zapewne najlepiéj płatne korepetycye, ubierał się starannie i ukrywał pod rękawiczką swoje chłopskie ręce; Płoszowski uciekał ze szkoły, polując jedynie na wrażenia; obojętny na ideę, równie gotów był ich szukać w dziewiczych lasach Ameryki lub w obozie Karlistów.

Ten ostatni odpowiada rzeczywiście upadkowi i rozkładowi filozofii, któréj pierwszych, pełnych wiary i entuzyazmu początków wyrazicielem był ów student. Ale cóż spowodowało taki rozkład i upadek?

„Coś się stało takiego, że to wszystko — literatura, sztuka, cała cywilizacya — nie tkwi w saméj miazdze życia, ale się z niego wydziela, odrywa i tworzy osobne koła, a wskutek tego i samo w sobie więdnie i nie wpływa na złagodzenie zwierzęcości tych milionów ludzkich, które się kłębią pod nami."

W tych przypadkowo i od niechcenia rzuconych przez Płoszowskiego wyrazach, tkwi klucz do zagadnienia psychologii jego, jako typu. Oderwał się on od życia, utracił pod sobą grunt i czuje niemoc swoją, bo nie ma o co się oprzéć.

Starożytny myt o owym Tytanie, synu ziemi, który dopóty jest silny i niezwalczony, dopóki spoczywa na jéj piersi, da się najzupełniéj zastosować i do świata moralnego.

Ludzie w położeniu Płoszowskiego podobni są do wybujałych kwiatów, które utraciwszy związek z gruntem życiodajnym więdną bezużytecznie. Ten rozdźwięk pomiędzy masą a inteligencyą, to oderwanie się téj ostatniéj jest przyczyną jéj jałowości, wyczerpania żywotnych sił, téj anemii duchowéj, która powoduje i zanik dogmatów. Gdzie uczucia są silne i głębokie, dogmaty istnieją nieświadomie;

człowiek ich nie spostrzega, jak nie czuje obecności zdrowéj ręki. Trzeba je stracić, aby uczuć ich brak.

A jeśli te naturalne i instynktowe podwaliny, na których one spoczywają, utracą żywotność swoją, jeśli analiza rozumowa rozłoży doszczętnie naiwne wierzenia nie badawczego umysłu, to w zdrowém społeczeństwie zastąpi je nowemi myśl twórcza geniuszów. Ale tam, gdzie geniusze odwrócili się od żywych zagadnień dziejów dla bujania w mglistych błękitach sybarytyzmu duchowego lub egoistycznie zakochani w swoich mrzonkach, potępili i zaprzeczyli prawa bytu tym zagadnieniom żywotnym, tam cywilizacya stając w pół drogi swego dzieła, nie uzupełniając analizy syntezą, rozkładu stworzeniem czegoś nowego, wytwarza typ wcielający niemoc duchową, świadomą swojéj niemocy; poczucie braku podstaw do życia, połączone z niemożnością jego wypełnienia.

Filozofia, któréj hołduje Płoszowski, wprawdzie wielce przyczynia się do zniszczenia tych dogmatów i sprawia, że ta oderwana od życia mas postać spada z wyżyn, na których stoi bohater Nieboskiéj komedyi, na niziny bezdogmatyzmu, ale nie ona jest jego wyłączną przyczyną; jest tylko ułamkiem całokształtu warunków cywilizacyjnych wydających podobny typ, a nawet przeciwnie, jest poczęści ich wynikiem, jeśli nie w osobie Płoszowskiego, to w téj klasie, do któréj on należy. I tu widzimy, jak mszczą się dzieje na osobnikowém życiu jednostki za zaniedbane przez jéj klasę obowiązki społeczne.

Płoszowski również jak i Manfred, jak hr. Henryk i Ugo, pozbawiony jest zupełnie tego idealizmu moralnego, który każe szukać zapomnienia własnych cierpień w myśli o ludzkości, który ścieśniając swoje *ja* do rozmiarów punktu matematycznego, sprowadza do nieskończenie małéj wielkości cierpienia osobiste wobec ogromu niedoli całéj ludzkości, wobec olbrzymiego zadania ulżenia téj niedoli; idealizmu, połączonego ze zdolnością uogólnienia, która na każdy cios bolesny życia reaguje myślą: Jak zrobić, ażeby innych ochronić od podobnego?

Taki idealizm byłby go uchronił od owéj obojętności woli, cechującéj całe jego postępowanie, a gdyby się nawet już znalazł w tém tragicznem położeniu, w jakim go znajdujemy na początku drugiego tomu, — wskazałby mu wyjście z niego, kierując wszystkie zasoby ducha, całą moc uczucia ku pracy dla ogółu i w ten sposób wypełniając pustkę, którą zostawiła w duszy stracona nadzieja szczęścia w miłości indywidualnéj.

Egoizm więc, ciasny egoizm, owo skupienie całego życia na swojém maluczkiém *ja*, rozdymanie tego *ja*, w owéj niby to chorobie ana-

lizy, która w rzeczywistości jest Narcyzowskiém pozowaniem przed sobą samym, rozdymanie do tak potwornych rozmiarów, że w końcu wszystko ruguje się z duszy prócz pragnienia dogodzenia owemu *ja*, to wyrafinowane przez wszystkie środki cywilizacyi, kultury, zamożności, samolubstwo jest bezpośredniém źródłem braku dogmatów a pośrednią przyczyną braku woli, sprowadzającego tragiczne położenie Płoszowskiego. Egoizm klasowy — jako członka inteligencyi, zapominającéj o obowiązkach swoich i egoizm osobowy, jako jednostki. Jest to ten sam arystokratyzm ducha, który był źródłem tragizmu Manfreda i hr. Henryka. Tylko ci dwaj pojmowali go szlachetniéj: pierwszy szukał czegoś i nie znalazł, porywał się ku wyżynom i gotów był uszczęśliwić ludzkość po drodze, byleby ten czyn stał się podnóżkiem jego wielkości, ale uszczęśliwiając nawet, czułby, „że jego ścieżki nie są ścieżkami tłumu." Drugi stanął w obronie tego, co minęło, nie poznał idei postępowej wieku — ale chociaż arystokrata ducha, również wzbijający się nad masę, walczył i zginął za to, czego bronił wbrew przekonaniu. Płoszowski nie walczy, nie działa, nie ma żadnych idei wyższych, nie wié o niczém na świecie, tylko patrzy w siebie samego i wylewa potoki słów z powodu każdego szpilkowego ukłucia, które dostaje z zewnątrz.

I jakaż kolosalna różnica w zachowaniu się wobec narzuconych przez społeczeństwo powijaków ze strony tamtych bohaterów a Płoszowskiego! Jaka uległość tego ostatniego względem despotyzmu przyjętych zwyczajów i przepisów towarzyskich!

Burząc w myśli wszystkie zasady moralne, rozkładając swoim sceptycyzmem wszystkie ideały, on — jako prawdziwy dekadent, z pokorą uchyla się przed konwencyonalizmem wymagań dobrego tonu i ani myśli łamać się z wymaganiami przyjętéj etyki.

„Com ja się narozmyślał, ilem natworzył teoryi, ilem nawyciskał mózgu, by sobie dowieść, że miłość jest większą siłą od ślubnych kontraktów, że ja mam prawo kochać Anielkę, a ona mnie — i teraz — ja będę mieszkał z mojemi teoryami, a Kromicki z Anielką."

Bo téż Hamlecik XIX wieku nosi swój dramat „pod koszulą", bojąc się nawet zdradzić ze swoją miłością, że już ani wspomnieć o walce w jéj imię. Bohaterowie Byrona, gdy społeczeństwo obrażało ich poczucie sprawiedliwości, świadomi swéj potężnéj indywidualności, rzucali mu rękawiczkę, wypowiadali wojnę, zostawali korsarzami, giaurami; ale Płoszowski jest zbyt dobrze wychowanym młodzieńcem, aby w czémkolwiek, prócz pamiętnika, zdradzić się z oburzeniem swojém.

Z tém wszystkiém Płoszowski jest doskonalszy od różnych mane-

kinów bez dogmatu o całą wyższość Sienkiewicza nad tymi powieściopisarzami, którzy próbowali sił swoich nad pokrewnemi typami, a wyższość ta polega na tém, że jest żywym człowiekiem, nie zaś abstrakcyą, że będąc typem, jest zarazem i osobą.

Jako osobnik, Płoszowski urosł w takich warunkach, które przyczyniły się do uszlachetnienia wielu niemiłych rysów i do uczynienia go interesującym, jako bohatera powieści. Próżniacze wychowanie arystokratyczne potęguje w nim wprawdzie niektóre niemiłe rysy; brak zajęcia doprowadza prawie do obłędu, skłonność bawienia się swoją drobną osóbką, swojemi namiętnostkami, którą to zabawę pompatycznie nazywa analizowaniem siebie, a egoizm, do rozwinięcia którego znacznie przyczynia się takie wychowanie, nie hamowany żadnemi zasadami, urasta do kolosalnéj wielkości. Z tém wszystkiém Płoszowski jest estetykiem — nie czystym wprawdzie, ale więcéj pseudo-estetykiem — niemniéj ta estetyczność chroni go często od złego. „Ta estetyczna wraźliwość daje mi tyle samo uciech, ile przykrości, ale wyświadczała i wyświadcza mi ona jedną wielką przysługę, mianowicie chroni od cynizmu, czyli od ostatecznego zepsucia i zastępuje mi poniekąd zasady moralne. Nie popełniłbym wielu uczynków nie tyle może dlatego, że są złe, ile dlatego, że są szpetne. Z moich estetycznych nerwów płynie także delikatność uczuć."

Wszystko to nietylko wypowiada Płoszowski, ale i stwierdza postępowaniem. Wprawdzie ta estetyczność nie posuwa się tak daleko, aby go wstrzymać od cynicznego związku z Davisową, daje mu jednak uczuć całą jego ohydę, odpycha go od niéj, każe mu ją oczerniać w swoim dzienniku, pomimo całéj dobroci, którą mu okazuje po śmierci ojca, a gdy stara się przed sobą samym okryć ten stosunek jakąś osłoną klasyczności i zrobić z téj Cyrcy nowożytnéj kapłankę kultu piękna, to w tém objawia się jedynie tylko sofisterya dekadentyzmu nicująca wartości moralne na pseudo-estetyczne. W rzeczywistości tylko odczuwamy większy wstręt do téj kobiety z etyką prostytutki, która sprzedaje się dlatego, by się stroić — nie zapominajmy, że nawet ogłada literacka Davisowéj jest dla niéj tylko strojem — a stroi się dlatego, by się drożéj sprzedać. Nie ma tu ani śladu tego greckiego spojenia miłości fizycznéj z duchową, téj naturalnéj harmonii, człowieka biorącego rzeczy prosto, a nie potrzeba miéć żadnych „gotyckich strzelistości" w duszy, ażeby uczuć wstręt do tego „pseudo-klasycyzmu", ażeby dostrzedz, że w niczém „do bogów" nie byli podobni ci ludzie, lecz tylko „do zwierząt."

Zniewieściałość charakteru Płoszowskiego wiele téż przyczynia się do złagodzenia szorstkości męskiego typu i do wyrobienia pewnego

rodzaju biernéj dobroci, trwającéj dopóty, póki interes egoistyczny nie stanie z nią w sprzeczności, dobroci, która tak łatwo godzi się z największém samolubstwem, która bardzo podoba się kobietom i któréj wcieleniem jest dobroduszny cielak Połaniecki, w późniejszéj powieści Sienkiewicza.

Co zaś głównie wyróżnia Płoszowskiego wśród innych bezdogmatyków, to, że dzięki bogactwu, nie potrzebuje on walczyć o byt. Czyni to jego egoizm biernym, tak jak bierną z natury jest jego dobroć. A chociaż myli się naiwny w wielu swoich sądach Śniatyński, mówiąc, że Płoszowskich tylko bankructwo może zamienić na ludzi czynnych, nie ulega wątpliwości, że bogactwo chroni go od wielu konieczności, które możeby wpłynęły dodatnio na jego żywotność, ale napewno spodliłyby charakter. Bogactwo to przyczynia się po części do wyrobienia jednego z sympatycznych rysów Sienkiewiczowskiego bohatera — jego pogardy dla pieniędzy, nietylko w tém znaczeniu, że ich nie ceni i nie przywiązuje do nich wagi — nie byłoby w tém nic dziwnego, ponieważ ma ich w bród — ale że gardzi niemi jako narzędziem, że brzydzi się użyciem ich jako środkiem do swych celów.

Jakże dodatnio odbija ten rys od drugiego typu bezdogmatyków, których jeden okaz odmalował już Sienkiewicz w Józwowiczu, a drugi naszkicował, wprawdzie pobieżnie, ale tak wyraziście w młodym Chwastowskim.

Wystawmy sobie ludzi również pozbawionych dogmatu, ale szukających stanowiska, karyery, użycia, nieposiadających tych skrupułów czułostkowych i estetycznych, które są źródłem męki zbyt „złożonéj" natury Płoszowskiego, przytém nie zniewieściałych i nie wyzutych z woli, a otrzymamy przedstawicieli pokolenia rekinów, do którego należy młody Chwastowski; pokolenia, które za hasło sobie obierze dewizę: „piéniądz to potęga!"

Autor „Rodziny Połanieckich" usiłuje, nie bardzo szczęśliwie, jak mi się zdaje, wybrnąć w téj powieści z dylematu, dotąd dlań nierozwiązalnego, dotyczącego młodego pokolenia inteligencyi: rekinów z jednéj strony, z drugiéj—ludzi szlachetnych w gruncie, lecz nieudolnych w życiu. Że zagadnienie to oddawna leży Sienkiewiczowi na sercu, świadczy o tém dramat „Na jedną kartę", pełen melancholii, wywołanéj przeświadczeniem, że piękne i szlachetne musi ustąpić miejsca sprytniejszemu i podlejszemu. W „Bez dogmatu" owo szlachetniejsze utraciło wiele ze swoich dodatnich rysów, a sprytniejsze ukrywa w cieniu wiele niemiłych. Niemniéj stosunek zostaje ten sam i Chwastowscy przedstawieni są jako przyszli panowie sytuacyi. I pesymizm Płoszowskiego jest w znacznym stopniu wynikiem tego prze-

świadczenia, że ów miły jego sercu świat, pełny gotyckich kaplic, ustąpić musi miejsca pokoleniu rekinów. Z tegoż przekonania płynie jego kokietowanie z młodym Chwastowskim. Imponuje mu ten młodzieniec swoją trzeźwością i realizmem, gdy na nieśmiałe i połowiczne wystąpienie Płoszowskiego w obronie uczucia, odpowiada:

— „Potrzebę uznaję, ale nie chcę jéj przyznać więcéj miejsca, niż jéj się należy. Na każdą potrzebę jest rada."

Prawda i to, że Płoszowski przez uczucie rozumié tylko jedno — miłość kobiety i to w formie „wiecznego romansu." Ale nie myślmy, że w obronie jakichś wyższych uczuć potępił tak kategorycznie romans, bądź co bądź szczery Płoszowskiego. Nie, ten sam Chwastowski, lubi używać, ale tylko nie oddając swego serca i również imponuje Płoszowskiemu tém, że „pomimo, iż pracuje jak wół, ma czas na rozmaite wesołe, może zbyt wesołe, stosunki w okolicach „Kaerthner-Strasse"; kiedy drugi braciszek żali się z Baku, że „kobiet tu nie, a przystojnéj ani na lekarstwo."

Apologetą pokolenia rekinów chciał zostać Prus w swojéj „Lalce." W Wokulskim przedstawia on jednego z tych „żywotnych" z domieszką pewnéj dozy podfilistrzałego romantyzmu, który zresztą ciągle bawi się w chowanego wobec realistycznych idei wieku. Postać ta jest nietylko wysoce nienaturalna, ale pomimo wszystkich usiłowań autora do wyśrubowania jéj na bohatera (w co uwierzyli niektórzy czytelnicy, a co najdziwniejsza—i czytelniczki) wprost wstrętna. Mamy tu w stosunku do piéniędzy zupełną przeciwstawność Płoszowskiemu: dorabianie się majątku drogą Kromickich, sypanie z czysto dorobkiewiczowską miną złotem dla przypodobania się przedmiotowi miłości, posługiwanie się nim na każdym kroku, jako narzędziem—słowem cały wstrętny cynizm mieszczańskiego hasła: „piéniądz to potęga."

Literatura nasza nie może się zdobyć na postać, któraby wzniosła się po nad ów dualizm rekinów lub niezdolnych do życia niedołęgów, bo nie umié się otrząść z tego mieszczańskiego hasła, bo nie umié się pozbyć téj myśli, górującéj w naszéj epoce, że „potrzeba mieć dużo piéniędzy", ażeby być „czémś." Pozostaje więc jedno z dwojga: albo dostać te piéniądze bez wszelkich starań, jak Płoszowski — i wtedy przychodzi do tego, że mu powié taki Śniatyński:

— „Z takich, jak ty, już nic nie będzie, ale z twoich dzieci mogą być ludzie; musisz tylko, a raczéj musicie wszyscy, pierwéj pobankrutować, bo inaczéj i wnuki wasze nie wezmą się do żadnéj roboty!"

Albo muszą się sami ich dorabiać, tak jak Chwastowscy, Kroniccy, Wokulscy i *tutti quanti.*

Ale wróćmy do naszego typu bezdogmatyka i jego „choroby woli", ażeby zreasumować etiologię téj choroby, tak jak ona wypada z naszéj analizy i przedstawia się w jego dramacie osobistym.

Przyczyną upadku Płoszowskiego jest brak wiary w swoją miłość. Ten brak wiary objawia się w zwątpieniach jego co do możności uszczęśliwienia Anielki, w wahaniu wobec ojca, w obawie „zatrzaśnięcia klamki." Przyczyną niewiary—brak siły i świeżości uczucia, spowodowany głównie przez zblazowanie, a spotęgowany przez skłonność do grzebania się w sobie, właściwą naturom mało energicznym, skłonność, którą chętnie nazywają analizą.

Zdrowe uczucia są jak zdrowe owoce — robak analizy nie może się do nich dostać, aby stoczyć ich wnętrze. Zarazki napełniające powietrze w większym lub mniejszym stopniu, są źródłem choroby, ale brak odporności organizmu jest jéj niezbędnym warunkiem. Dogmata życiowe, które poddały się analizie i uległy wobec téj niegłębokiéj filozofii Płoszowskiego, musiały być wątłe i niedołężne same w sobie; nie spoczywały na żadném silném i zdrowém uczuciu — przekonaniu.

Czy to znaczy, że filozofia jest obojętną w sprawie wyrobienia tego typu?

Wcale nie. Są organizmy tak zdrowe, że nie ulegają zarazkom nawet w przepełnionéj niemi atmosferze; nie uwalnia to jednak lekarzy od obowiązku ścisłéj profilaktyki dezynfekcyjnéj.

Dla lepszego poparcia swego założenia, Sienkiewicz przeciwstawia „ulepionemu z jałowéj gliny" Płoszowskiemu dwóch ludzi czynnych—każdy na swojém polu realném—o niezachwianych dogmatach: rzeźbiarza Łukomskiego, który myśli liniami i kształtami, a opisując swoją narzeczoną, używa technicznych terminów malarskich, i komedyopisarza Śniatyńskiego, wiecznie kręcącego się, zadowolonego z siebie, z żony swojéj, z którą stacza ciągłe pojedynki wspaniałomyślności, ze swojéj działalności i ze swoich dogmatów życiowych, nad któremi — to jego pierwsza zasada — nie filozofuje wcale.

Pierwszy z nich jest bardzo zacnym człowiekiem, dobrze myślącym i uczciwie czującym; tęskniącym za krajem, do którego jest szczerze przywiązany, ale do takiego stopnia nic nie widzącym po za swoją gliną i posągami, że gotów stawić Davisowéj pomniki za jéj kształty.

Drugiego Płoszowski w pamiętniku swoim przedstawia jako bardzo rozumnego i dzielnego, ale w tym samym pamiętniku jest kilka subtelnych rysów, coś prawie niepochwytnego, co pomimo mądrych i zacnych, jakby wziętych z książki zasad, które wygłasza Śniatyński, pomimo pochwał dlań Płoszowskiego silnie osłabia w czytelniku wrażenie tych pochwał. Nie ulega téż wątpliwości, że to osłabienie wra-

żenia było potrzebne dla autora; świadczy ono o subtelném poczuciu architektoniczném. Gdyby Śniatyński był jednym z tych, przed którymi Płoszowski musiałby uchylić czoła, postać tegoż zmalałaby a zasadnicza idea powieści zostałaby silnie zachwiana.

Co się składa na te rysy? — Rozmaite drobnostki: kilka nietaktowności (jak np. owe „ruszaj w świat" dodane do telegramu odbierającego Płoszowskiemu ostatnią nadzieję na rękę Anielki), jego niezręczne zaglądanie do serca Leona, pobudzające tegoż do przypomnienia sobie sceny z fletem z Hamleta, jego naiwne uwielbienie dla Płoszowskiego, jego katechizmowo-proste zasady — a tak zacne, że któżby się na nie nic pisał? — wobec których jednak zwątpienia i wahania Płoszowskiego przybierają wygląd czegoś, jeśli nie tytanicznego, to przynajmniéj demonicznego.

— „Miłość w znaczeniu ogólném, miłość w znaczeniu szczegółowém — i wobec tego precz z krytyką! Tak! to są życiowe kanony. Moja filozofia polega na tém, żeby nad niemi nie filozofować — i niech mnie licho porwie, jeśli się z tego powodu uważam za głupszego od innych. Z tém życie jest coś warte; bez tego nie warte torby sieczki."

Takie jest wyznanie wiary Śniatyńskiego. Owo jednak nie filozofowanie nad swojemi dogmatami, pomimo całéj praktyczności zasady, zanadto przypomina człowieka, który dobrowolnie zamyka oczy, a gdy Płoszowski zadaje sobie pytanie, kto z nich głupszy czy Śniatyński, czy on, to mimowoli przyznajemy, że jeśli nie jest mędrszy w zwykłém znaczeniu, to ma w sobie pewną głębię ducha, któréj pozbawiony jest Śniatyński.

Wogóle Śniatyński bardzo przypomina ową figurę uczciwego i przekonanego sekretarza redakcyi z dramatu „Na jedną kartę", który staje się narzędziem w ręku Józwowicza. Tylko tam było poczucie swojéj drugorzędnéj roli, czego u Śniatyńskiego nie ma.

W każdym razie zestawienie Płoszowskiego ze Śniatyńskim nie jest przekonywające: pierwszy nie dlatego jest mniéj czynny od drugiego, że ma umysł głębszy, ani téż dlatego mniéj moralny, że estetyczniéj pojmuje świat i życie.

Dualizm pomiędzy niezachwianemi dogmatami życiowemi a władzą analizy istnieje rzeczywiście, również jak i dualizm pomiędzy estetycznością a moralnością. Żaden z nich jednak nie jest nieprzejednanym. Synteza woli z głębokim i krytycznym umysłem w postaci poetyckiéj oczekuje jeszcze na swego twórcę; do syntezy estetyczności w życiu z poważném pojmowaniem i pełnieniem obowiązku społecznego dała wiele materyału przygotowawczego p. Orzeszkowa w powieściach z ostatnich kilku lat, przeprowadzając głęboką i subtelną

analizę i przeciwstawność tych dwóch poglądów na życie: jednego opartego na kaprysie estetycznym lub nie, drugiego — na poczuciu surowego i bezwzględnego obowiązku.

Bliższe rozejrzenie się wśród tych typów, stanowiące niejako uzupełnienie tego zagadnienia psychologii społecznéj, którą roztacza przed nami powieść „Bez Dogmatu" mam nadzieję uczynić przedmiotem jednego z najbliższych studyów.

Tegoż autora:

— **Dekadentyzm współczesny i jego filozofowie:** p. Bourget i Fryderyk Nietzsche. Cena 45 kop.

— **Życie rośliny** (popularny wykład fizjologji roślin). Cena 80 kop.

— **Klasyfikacya umiejętności ze stanowiska potrzeb wykształcenia ogólnego.** Cena 30 kop.

Są do nabycia we wszystkich księgarniach.

PRZYGOTOWANE DO DRUKU:

Wykształcenie samego siebie i czytelnictwo metodyczne

Teorya i praktyka lektury systematycznej, mającej na celu nabycie gruntownego wykształcenia; przez *Wł. M. Kozłowskiego.*

TREŚĆ:

Wstęp: Wykształcenie samego siebie i szkoła.

CZĘŚĆ I.

Wykształcenie i książki: R. I. Uboczne źródła wykształcenia. R. II. Potęga książki: próby unormowania czytelnictwa. R. III. Co znaczy prawdziwe wykształcenie? R. IV. Wykształcenie ogólnie-ludzkie i wykształcenie narodowe. R. V. Umiejętność czytania. R. VI. Wybór książek i następstwo w czytaniu. R. VII. Jak czytać utwory poetyckie? R. VIII. Wykształcenie naukowe. R. IX. Publicystyka i życie

CZĘŚĆ II:

Synteza lektury i filozofia życia: R. I. Główne zagadnienia w wykształceniu samego siebie. R. II. Moralność i szczęście. R. III. Pogląd na świat. R. IV. Ideały. R. V. Jednostka i społeczeństwo.

Dodatek: 1 Katalogi lepszych dzieł z rozmaitych zakresów piśmiennictwa naukowego.

2. Katalog wyborowych dzieł z literatury, krytyki i historyi literatury polskiej, ułożony przez p. *Piotra Chmielowskiego.*

DO NABYCIA

WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Fr. SCHILLER **Dziewica Orleańska.** Dramat. Przekład *A. E. Odyńca.*

Pierwsze tanie wydanie. Cena 25 kop.